Świat Kobiecy

Rok 1928 Warszawa — Lwów Numer 16



MARJA MALICKA

Treść numeru szesnastego:

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji Lwów, Chorążczyzna 27, miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł. 10·50, półrocznie zł. 18·—, rocznie zł. 36. — Numer pojedyńczy 2 zł.
Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem P. K. O. (Konto Nr. 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście znaczkami pocztowemi.
Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazetowych i t. p. Cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów **miesięcznie zł. 3·60, kwartalnie zł. 10·—** lub na poczcie **cena miesięczna zł. 3·66, kwartalnie zł. 10·17.**

Dla naszych stałych Czytelniczek bezpłatne premje.

Do wyboru: Jeden z trzech wytwornych a niezmiernie pożytecznych Almanachów „Świata Kobiecego".

Ewa Szelburg: Polne grusze, powieść.

E. Wallace: Miś, powieść.

Olga ks. Paley: Wspomnienia z Rosji.

Która z naszych Czytelniczek uiści półroczną prenumeratę w kwocie zł. 18·—, otrzyma jedną z wymienionych książek. Na koszta przesyłki prosimy przesłać zł. 1·50 (można w liście w znaczkach pocztowych).

Administracja „Świata Kobiecego".

„Un Air Embaumé"
RIGAUD PARFUMEUR
PARIS 16, Rue de la Paix

Poleca znane w całym kulturalnym świecie perfumy:
UN AIR EMBAUMÉ - PAS PLUS CHIC
MARY GARDEN - CAMIA - LE LILAS
Żądać wszędzie.
72



Lever Brothers Limited Anglja
V.P.7—37



SIŁA ATRAKCYJNA KOBIETY
i jej powodzenie u mężczyzn
zależną jest w dużym stopniu od umiejętności w doborze subtelnych perfum.
„HALKA" dla Pań
„LILAS" dla Panów
„DAJ-GO" dla Wszystkich
Oto najmodniejsze subtelne perfumy fabryki
HENRYK ŻAK 788

WEŁNY
w najnowszych wyrobach, fulary i surowe jedwabie
poleca 719
ROMAN ZUBIK
nast. JÓZEF STEFANOWICZ, Lwów, Halicka 16

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | NR 16 — ROK VIII | WARSZAWA — LWÓW | 15 SIERPNIA 1928 ROKU

CZEGO NIE LUBIMY

UJRZEĆ siebie w prawdziwem świetle.

Pomyśleć w samotności nad sobą, nad swemi brakami, ocenić siebie krytycznie, bezstronnie.

Stanowczo tego nie lubimy. Natomiast z zapałem zajmujemy się drugimi i rozpoznajemy u nich mnóstwo błędów, które wprawdzie sami posiadamy, lecz ich nie dostrzegamy nawet.

Jesteśmy ciekawi wszystkich, tylko nie siebie. Wprawdzie tłumaczymy swoją ciekawość żądzą wiedzy, doświadczeniami psychologicznemi, chęcią poznawania dusz i charakterów ludzkich — lecz cóż może mieć wspólnego wiedza np. z wglądaniem w czyjeś prywatne stosunki lub uczucia i z podawaniem dalej swoich domysłów. Albo z osądzaniem czynów, których źródeł nie znamy. Krzywdy, jakie tego rodzaju badania psychologiczne wyrządzają drugim, są nie do powetowania — ale o tem myśleć nie lubimy.

Składamy się z różnych złych przyzwyczajeń, różnych drobnych niedoskonałości, narowów, ale to po największej części nie dochodzi do naszej świadomości. Jesteśmy przecież wyrozumiali — dla siebie. Za to wobec drugich surowi, krytyczni, nieustępliwi.

Nie lubimy myśleć o tem, czy nasz rodzaj obcowania z otoczeniem jest mu miły, czy też przypadkiem nie działa na nerwy, nie przeszkadza w pracy, w wykonywaniu obowiązków, czy nie jest przykry chociażby w stosunkach czysto towarzyskich.

Brak opanowania jest najczęstszą i bodaj czy nie najnieznośniejszą wadą, z którą się spotykamy. Wypływa zeń nieuprzejmość, opryskliwość, niesprawiedliwość, co jest najgorszem świadectwem, jakie sobie wystawić można. A cóż dopiero sądzić o nieuprzejmości wobec ludzi zależnych od nas w czemkolwiek.

Jakąż niewysłowioną przykrością i prawdziwem utrapieniem jest dla otoczenia czyjś nieopanowany głos, grzmiący stale o kilka oktaw za wysoko. O poufnej pogawędce ani mowy.

Albo nierówność usposobienia, nieobliczalność, złe humory, skwaszone i ponure oblicze obnoszone z tępą zawziętością pomiędzy ludźmi, którzy się niczem do tego stanu nie przyczynili, a mimo to znosić muszą czyjeś nieokrzesane manjery.

Brzydkie i hałaśliwe jedzenie psuje apetyt współbiesiadnikom, a nieumiejętność chodzenia po ulicy zatruwa wspólną przechadzkę, kiedy to towarzyszący nam spychają nas wprost na jezdnię lub pod ściany kamienic, przybliżając się zbytnio i zmuszając nas do usuwania się.

Czasem ktoś nie orjentuje się dostatecznie w higjenie ust i w niezbędnych środkach służących do systematycznej, codziennej pielęgnacji rano, wieczór i po każdem jedzeniu. Co za tortury znosić nieraz wypada, wiemy chyba wszyscy z doświadczeń osobistych. Wstrętną tę wadę zauważy taki osobnik u drugich natychmiast i ostro skrytykuje; jeśli chodzi o własną osobę, powonienie jakoś zawodzi. O ile w dodatku taki pan lub pani mają sympatyczny zwyczaj zbytniego zbliżania się podczas rozmowy, mówienia prawie twarz przy twarzy — wówczas jesteśmy zgubieni.

Obraźliwość i podejrzliwość utrudniają w wysokim stopniu współżycie i niszczą bezpowrotnie dużo dobrych chwil, ładnych porywów.

Do nieznośnych nawyków należy wyśmiewanie, ośmieszanie i obniżanie wszystkiego, co się komuś nie podoba lub nie odpowiada z jakichś względów. Czasem ktoś przyswaja sobie taką manjerę prowadzenia rozmowy t. zw. intelektualnej. Tymczasem, z reguły, intelekt jest u takich ludzi ubożuchny, a tanie dowcipy pokrywają zupełną pustkę umysłową.

Rozdawanie i odwzajemnianie ukłonów, t. j. odcienie ich w stosunku do tych których się wywyższa i tych z którymi się nie liczy, charakteryzują niezawodnie człowieka. Im wyższy szczebel kultury jednostki, tem mniej różnic w ukłonach, tem mniej specjalnych wymagań w stosunku do własnej osoby.

Przedziwnie brzydkim zwyczajem — uważanym przez wielu za grzeczność — jest natarczywe namawianie i zmuszanie zaproszonych do jedzenia i picia ponad ich pragnienie. Trochę zastanowienia i wniknięcia w sytuację drugich położyłoby kres takiej niekulturalnej gościnności.

Istnieje stosunkowo spora liczba ludzi, którzy pouczanie drugich uważają za swój obowiązek, za powołanie niejako. Stale też kogoś upominają, coś komuś wytykają i udzielają rad bez pytania lub proszenia o nie. Ale co w tem najzabawniejsze, są to zwykle ludzie, którym ich własne upomnienia i rady oddałyby prawdziwą usługę. Jak tego rodzaju pedagogiczne manjery drażnią drugich i wyprowadzają z równowagi, ilustruje dosadnie tragikomiczne zdarzenie opowiedziane przez pewnego misjonarza. Świeżo nawrócony na chrystjanizm szczep w Nowej Zelandji wydał wyrok śmierci na jednego ze swoich członków i wykonał go. Na wyrzuty misjonarza odpowiedział z powagą wódz tego szczepu: panie, on nam dawał ciągle tyle rad, że wkońcu byliśmy zmuszeni zabić go dla spokoju wszystkich.

Zanim zaczniemy krytykować wady drugich, rozpatrzmy wpierw swoje. To ułagodzi nasz sąd.

Zanim zaczniemy pouczać kogokolwiek, przypomnijmy sobie trafne zdanie:

Mądry uczy się, głupi poucza.

Ale my tego właśnie nie lubimy.

Obserwator

PRZESŁANKI BEZ KONSEKWENCYJ

I.

MIMO szeregu utartych porównań kucharsko-małżeńskich — („wierny małżonek jest jak ów nieszczęśliwiec, który przez całe życie żywi się tylko zającem w śmietanie“) — uważam, że kwestje te bywają często do siebie tak mało podobne, jak pięść do nosa — jak stół do łoża.

Dla niektórych pokrywają się one jednak.

II.

365 obiadów Ćwierciakiewiczowej.

Smaczne, zdrowe, higjeniczne.

O, te rozkoszne, apetyt budzące recepty: dwie skórki z cytryn... pół laski wanilji... bierze się... utrzeć na proszek... oblać lukrem... podać na stół...

III.

Książka rozchwytywana obecnie w Niemczech: *Dr Th. H. van de Velde, Direktor der Frauenklinik in Haarlem (Holland) — „Die vollkommene Ehe. Eine Studie ueber ihre Physiologie und Technik. Leipzig 1928. Medizinischer Verlag Benno Konegen.*

Fizjologja seksualna posiada już swą bogatą literaturę. Temat drugiej części omówiony z daleko większą precyzją, niż to czyni Owidjusz, czy Kama-Sutra. Po raz pierwszy traktowany w tonie popularno-naukowym.

Wyjątków cytować niepodobna. Brzmią prawie dosłownie jak recepty Ćwierciakiewiczowej.

IV.

Ćwierciakiewiczowa nie podaje w swej książce recepty na smarowanie chleba masłem.

V.

Zjadając kremowe ciasteczko, można bez obawy badać jego konsystencję. Dodaje to nawet ponoś apetytu.

Ale ciastek nie spożywa się wprost z gorącej blachy piekarskiej.

VI.

Istnieją takie podobieństwa: stół ma cztery nogi i łóżko ma cztery nogi; oba są biało nakryte.

Mimo to żaden biesiadnik na stole nie siada.

(To spostrzeżenie stanowi różnicę istotniejszą, niż się napozór wydaje.)

VII.

W dobrze zorganizowanym domu podaje się zupę codziennie o tej samej godzinie. Jeśli mąż z braku czasu odchodzi, nie doczekawszy się końca obiadu, gospodyni poczuwa się z wstydem do winy.

Tak, tak... Niema to, jak punktualność przy stole.

VIII.

Łykając ostrygi, lub *toasts* z kawiorem nikt się chyba nie zastanawia nad tem, d l a c z e g o przekąska zaostrza głód.

IX.

Jeśli ktoś głośno mlaska przy jedzeniu — popełnia nietakt.

Jeśli ktoś inny ten nietakt obszernie omawia — popełnia brutalność.

Drobna, dyskretna uwaga — zdziała więcej od pracy naukowej.

X.

Kilka wyjątków z wyimaginowanego dzieła „*Das vollkommene Essen*“:

A) „Obiadu nie należy zaczynać od kompotu. Na podstawie licznych doświadczeń ludzkości poleca się następujący porządek dań:
1) wódka i zakąska
2) zupa
3) przystawka
4) ryba
5) pieczyste
6) drób
7) legumina
8) kompot lub owoce
9) sery
10) czarna kawa.

(W skromniejszych domach można ilość dań odpowiednio umniejszyć, nie omijając jednak dań sub 2, 5 i 7.)

Wina do smaku. (Nie radzi się szampana podawać już przy zupie.)“

B) „Dla uzyskania najwyższego stopnia użycia przy jedzeniu pieczeni, należy mięso krajać stopniowo na małe kawałki (2·5—3 cm^3) i nadziewać je kolejno na widelec. Następnie zgarnąć nożem na widelec jarzynę i ziemniaki. Włożyć kąsek do ust. Przeżuwać powoli i gruntownie. Nie połykać nierozgryzionych kawałków. Żarłoczność szkodzi trawieniu.“

C) „Od stołu wstawać należy jeszcze z resztką apetytu. Dla konserwacji zębów należy... i t. d., i t. d.“

XI.

Przypominam: *Bourgeois-gentilhomme* Moljera, typ naszego „Pana Geldhaba“ — pragnie się kształcić. Sprowadzony metr tłumaczy mu różnicę, zachodzącą między poezją a prozą. Dorobkiewicz robi wielkie oczy: teraz dopiero dowiedział się, iż przez całe życie mówił prozą... prawdziwą prozą!... Jest dumny.

Ten sam nouveauriche, mimo iż potrafi mówić jak każdy śmiertelnik, uczy się wymawiać spółgłoski i samogłoski. Metr-szarlatan uświadamia mu, jak wymawiać należy samogłoskę „u“:

„Zwinąć usta w trąbkę, cofnąć język, ścisnąć krtań obniżając grdykę, nabrać tchu, wytchnąć powietrze przez struny głosowe...“

Biedny uczeń wśród najwyższych wysiłków stara się wedle wszystkich reguł sztuki wykrztusić „u“...

Nie wiedział dotychczas, że to takie skomplikowane.

XII.

„Wzbudzić pożądanie, żywić je, rozwijać, zwiększać, podniecać, zaspokajać je: oto zupełny u t w ó r p o e t y c k i.“ *Balzac: Katechizm małżeński.*

„Wszystko piękne w zmysłowem użyciu pochodzi z d u c h a i z s e r c a” *de Vauvenargues.*

XIII.

P r z e c i w i e ń s t w o gadatliwej, na sensację obliczonej, rozchwytywanej przez żądnych wrażeń książki van de Veldego:

Dr Herm. Muckermann, Leiter der Abteilung Eugenik am Kaiser Wilhelm Institut fuer Anthropologie in Berlin — „Eheliche Liebe“ (z cyklu: Die Familie. Schriftenreihe fuer das Volk). Ferd. Duemmler Verlag, Berlin SW. 68. *J. M.*

SAMOTNY ARTYSTA

NA MARGINESIE: „POŻEGNANIA JESIENI" ST. IG. WITKIEWICZA

TYTUŁ może zbyt romantyczny.

Ale trudno.

Właśnie „samotny artysta".

Nie myślę bynajmniej dawać sylwetki St. Ig. Witkiewicza, chcąc choć trochę głębiej sięgnąć do istoty jego twórczości, trzebaby napisać dłuższe o nim studjum.

Chcę tylko zwrócić uwagę na niektóre zasadnicze cechy tego niepospolitego artysty.

Otóż Witkiewicz, jak powiedziałem już w tytule, jest „samotny". Nie znaczy to, że nie ma przyjaciół — (za mało: entuzjastów) — przeciwnie, ma ich bardzo wielu.

Ale Witkiewicz jest „samotny" na swojej drodze artystycznej.

Idzie w kierunku tym, który mu odpowiada, który go sugestjonuje; idzie i nie zbacza.

Można się z tym kierunkiem zgodzić lub nie, można zarzucać to i owo, ale każdy musi przyznać jedno: że Witkiewicz — to artysta twardy, uparty i konsekwentny.

Zasadnicze nieporozumienie:

Wszyscy krytycy rozpatrują Witkiewicza z iluzorycznej platformy: jakim mógłby być, a nie — jakim jest.

Śmieszna rzecz.

Ktoś mówi: „Gdyby zechciał napisać sztukę normalną, wyobrażam sobie, jakaby to była wspaniała rzecz".

Inny:

„Gdyby napisał powieść „do ludzi" i nie bawił się w te swoje dziwactwa i bezsensy, przy tym temperamencie pisarskim, jakieżby mógł stworzyć dzieło".

Ale Witkiewicz kompromisów w swojej twórczości nie uznaje. Nie zniża się do gustów publiczności, nie zabiega o łaski dyrektorów teatru, aby jego sztuki wystawiali, żyje w wiecznej wojnie z krytykami. Na takie stanowisko może sobie pozwolić tylko artysta głęboko przeświadczony o swojej pełnej wartości.

Gdyby Witkiewicz żył w Paryżu, być może, że miałby już dzisiaj własny teatr; gdyby żył w Ameryce, zrobiłby z pewnością majątek na swoich portretach (na to się musimy zgodzić wszyscy, że Witkiewicz jest dzisiaj jednym z najlepszych w Polsce portrecistów); gdyby żył w Anglji, miałby sławę krytyka i estety, ale Witkiewicz żyje w Polsce i nie ma nic.

Powiedzcie mu to, a z pewnością się oburzy. Nie wiem czy znajdzie się dzisiaj w Polsce artysta tak „niematerjalny" jak Witkiewicz.

Napisał przecież trzydzieści parę sztuk, bez żadnej myśli o tem, czy kiedykolwiek wogóle wystawione będą.

Witkiewicz wie, że gdyby choć trochę zboczył z obranej drogi, znalazłby z pewnością poklask publiczności i krytyki, zdobyłby pieniądze i tak zwaną „sławę".

Ale Witkiewicz, jak powiedziałem, to artysta twardy, konsekwentny i za żadną cenę nie znoszący kompromisów. Idzie uparcie, z zaciśniętemi zębami w obranym kierunku. I jeszcze jedno: idzie nie dlatego tą drogą, żeby iść „naprzekór wszystkim", albo że jest gnany ambicją tworzenia rzeczy, których jeszcze nie było, Witkiewicz idzie w tym kierunku dlatego, że on mu odpowiada, że jest najgłębszym, najpełniejszym wyrazem jego twórczej istoty, jego indywiduum.

Dam taki przykład:

Nikt przecież nie uwierzy (to byłoby dziecinne), aby artysta mógł napisać trzydzieści parę sztuk, mając na celu tylko odbiegnięcie od szablonu, pozę na oryginalność i t. d. Można w ten sposób napisać dwie, trzy sztuki, ale nie trzydzieści parę (zaznaczam jeszcze raz, że Witkiewicz tworząc swoje dzieła sceniczne nie miał pewności, czy będą wystawione). Jest więc rzeczą zupełnie jasną, że głównym motywem była tu tylko istotna potrzeba twórcza, chęć wypowiedzenia tego wszystkiego co tę nieprzeciętną duszę spala, rozjaśnia i entuzjazmuje.

Ostatnia powieść Witkiewicza: „Pożegnanie jesieni" wzbudziła u jednych drwiący uśmiech, u drugich zajadłą krytykę. Nie o tem chcę jednak pisać. Artysta tej miary co Witkiewicz, obrony zupełnie nie potrzebuje.

Przyjdzie czas kiedy krytyka i przynajmniej ta najbardziej kulturalna garstka społeczeństwa zrozumie kim jest Witkiewicz. Ze zjawiskiem tak nieprzeciętnem, tak wyrośniętem ponad tę zwyczajną miarę, jaką się zwykło dzisiaj każdego artystę oceniać — ze zjawiskiem tak odbiegającem od utartej płaszczyzny — trzeba się najpierw „oswoić".

Trudno — artysta taki jak Witkiewicz musi się doczekać tak zwanej „swojej kolei". (Przypomnę tu tylko zjawisko takie, jakiem w literaturze naszej był Miciński.)

Niech się zatem cała krytyka na Witkiewicza słusznie czy niesłusznie „rzuca" — owszem, to jest tylko najlepszą miarą jego niepospolitości. „Ważniejszem jest, jeżeli się o młodym artyście dużo złego słyszy" — powiedział Ibsen do Przybyszewskiego. A teraz jeszcze parę słów na marginesie „Pożegnania jesieni":

Któryś z krytyków (nie pamiętam kto) napisał o powieści Witkiewicza, że „najgorzej jest z budową zdań, z językiem, z formą stylistyczną". Wszyscy dobrze wiemy, ile czasu trzeba było na to, aby krytyka oswoiła się z językiem Wyspiańskiego.

Otóż Witkiewicz ma swój indywidualny styl, nawskróś męski, twardy: maluje jakiś obraz szeroką, energiczną płaszczyzną, nie cyzeluje go i nie wykańcza, co w dzisiejszej, uporczywej pogoni za słowem i frazesem stanowi urok nieprzezwyciężony, nie lęka się długich okresów, wtedy gdy są mu potrzebne; w powieści Witkiewicza niema ani jednego fałszywego porównania, a jeżeli nawet czytelnik natrafia na pewne ostre kanty i że tak powiem grubsze węzły, to są one w porównaniu z dzisiejszą starannością o równość i gładkość zdania — tylko zaletą tej nieprzeciętnej formy wypowiedzenia się.

Któryś z poważnych krytyków, i to z obozu wprost Witkiewiczowi przeciwnemu, powiedział, że język w „Pożegnaniu jesieni" przypomina chwilami swym charakterem twardym i rubasznym staropolszczyznę. Zupełnie słusznie.

Nie będę tutaj tych zdań przytaczał, zdań które absolutnie wykazują to pokrewieństwo, zacytuję tylko parę innych, które poświadczą, że ze stylem Witkiewicza nie jest tak „najgorzej", jak niektórzy o tem piszą: „Tam wpatrzony w granatową, a szmaragdową przy brzegach głąb wód, na których powierzchni, powiew wiatru rysował matowe, szaro-błękitno-fioletowe i złociste smugi — przeleżał kilka godzin". „Odwieczny las olbrzymich świerków szumiał cicho a z ciemno-zielonych gałęzi zwisały długie brody mchów—gdzie niegdzie czerwieniała jarzębina". „W górach zawsze miał Atanazy wrażenie, że słońce nie zachodzi *tu*, tylko gdzieś, nieskończenie dalej — tak samo wschodzi gdzieś, a potem odrazu rzuca się z nieba w doliny".

Witkiewicz nie goni za efektem. Jeżeli pisze, że „żółte rokity i purpurowe jarzębiny świeciły pod słońce, jak blaszki z polerowanego metalu", to on wtedy rzeczywiście takie wrażenie wzrokowe odniósł.

Ktoś powiedział, że Witkiewicz „ma temperament pisarski". Czyżby tylko „temperament".

Witkiewicz pisze z pasją, rąbie, sieka, nie mając nawet czasu na wykończenie i na cackanie się z każdem zdaniem, na szlifowanie jakiegoś obrazu ze wszystkich możliwych stron.

Witkiewicz pisze tak, jak maluje: szeroko, twardo, często brutalnie, a zawsze po męsku — z nieokiezananą, na nic nie dbającą pasją.

Stanisław Alberti

Z JAKIEGO ŹRÓDŁA

(Dokończenie: 4)

OMIJAJĄC zapytanie, prosimy aby odjęła firankę. Zdziwienie rośnie. Obraz ten, powstały na dziesięć lat przed pierwszą głową Chrystusa, jest malowany w zasadniczo inny sposób. W miejsce natchnionych prymitywów poprawna, choć nieświetna maniera z końca 18-go wieku. Na obrazie ściągła zniszczona twarz o gorzkim wyrazie ust. Ciemne okrągłe oczy, — oczy niezwykłe, o przejmującym wyrazie, ale jakże inne! Nawprost stoi świetliste „Przemienienie" i teraz, gdy firanka odsłonięta, patrzy duch ciemności na promieniejące oblicze Chrystusa. Pełne mądrości doskonałej oczy Boga — i przebiegłe, rozumne oczy „Tamtego", oczy połyskujące nienawiścią w mroku. Naokoło głowy emblematy masońskie, wysokiego stopnia Kadosz, stopnia zemsty. Na żądanie czarodzieja wykonała je własnoręcznie Helena. Nie wiedząc co robi, temi samemi rękami, któremi miała później malować Ukrzyżowanego, nakreśliła krzyż bluźnierczy, którego napis: I. N. R. I. oznacza nie: „Jesus Nazarenus, Rex Judeorum", — jak zwykle, — ale: Jesus Nazarenus Resurrexit Incassum!! Z bezpodejrzliwą niefrasobliwością odmierzała trójkąt, podstawowy symbol czarnej magji i wplecioną weń Różę, znak wołający: Zamilczeć o krzyżu!!

Widziałam kiedyś reprodukcję portretu Cagliostra, malowanego w epoce dużo wcześniejszej, w czasie gdy popularny oszust i czarodziej grasował na dworze Ludwika XVI. Portret przedstawiał dobrze odżywionego pana w peruce i żabocie, zadowolonego ze świata i siebie. Na obrazie Heleny uwieczniony został jako stary zniszczony człowiek z ostrzyżoną głową, zmęczony długiem więzieniem, — jednakże do tamtego podobny. Po uważnem przeglądzie rozpoznać można tę samą twarz, te same rysy.

Męczy się umysł ludzki w nierozwikłanej zagadce. Skąd powstały te obrazy? Kim jest ta kobieta?

Naokoło dziwnych obrazów z ulicy Liotarda zapisano wiele papieru. Kilka poważnych dzieł, szereg broszur, usiłuje, każde w inny sposób, wytłumaczyć ich problem dręczący. Jak zwykle jednak, t. zw. objaśnienia naukowe są tylko tłumaczeniem jednego Niewiadomego przez drugie niewiadome, bardziej zawiłe i ciemne niż pierwsze.

Wojna światowa wybuchła w parę miesięcy po naszym wyjeździe z Genewy, przerwała moją znajomość z Heleną Smith. Wśród odmętu wypadków wojennych i spowodowanych niemi przewrotów, zatarły się doszczętnie w pamięci obrazy malowane we śnie. Dopiero w 1920 r. miałam przez znajomych wiadomości o sennej malarce.

Okazywało się z nich, że zawierucha światowa nie zmieniła nic w ciasnem, zagraconem mieszkanku. Obrazy stały na swoich miejscach. Po dawnemu ludzie schodzili sznurem, by je oglądać. W r. 1916 Helena Smith zaczęła malować dziewiąty zkolei, a pierwszy po Judaszu, obraz przedstawiający Anioła Pokoju.

...Jest dopiero zaczęty, — pisała — ale widziałam go w całości przed rozpoczęciem... Jakże jest piękny! Tyle w nim pogody i dostojeństwa... Maluję go wiele wolniej niż dawne obrazy, — seanse są rzadsze, — to nic dziwnego, bo przecież wojna ciągle jeszcze trwa, a on ma przynieść pokój i królestwo Boże... Gdy go skończę, nie będzie już wojen...

— Od tej pory miewam co pewien czas wiadomości o Helenie Smith. Wprawdzie listy jej, wykaligrafowane starannie, przypominają wypracowania pilnej dziewczynki z III klasy i niemasz w nich nic ciekawego, nic coby było odbiciem unoszących się dookoła jej rąk i głowy tajemnic. Miast pisać o tem co najważniejsze, ma zły zwyczaj opisywania szeroko uroków wiosny alpejskiej (lub zimy, — zależnie od pory). Wśród powodzi banalności, zrzadka wyłowić można wzmiankę o zaczętym obrazie.

...Mój Anioł Pokoju postępuje bardzo powoli... skarży się w liście z 1925 r. — ...cóż dziwnego? Tyle zła jeszcze na świecie! Seanse przychodzą teraz co 3—4 miesiące, nieraz rzadziej... Zapewne, że zła jest jeszcze aż nadto na świecie, objektywnemu słuchaczowi jednak nasuwa się na myśl inna przyczyna, bardziej naturalna:

— Helena Smith nie jest już młodą. Zbliża się do pięćdziesiątki. Siły medjumiczne, nawet tak bogate jak jej, wyczerpują się i zanikają. Narzędzie przestaje być sprawnem, wrażliwem. Nieznana ręka, posługująca się niem przez ćwierć wieku, odrzuca je precz i odchodzi. Cykl obrazów nie będzie skończony.

— Ale kobieta, która oddała tej twórczości połowę życia, nie chce uwierzyć w to tragicznie pospolite zakończenie. Nie przychodzi jej ono nawet do głowy. — Z biegiem lat uwierzyła święcie, gorąco, w swoje posłannictwo. Wierzy, że dzieło zapomocą jej rąk dokonane przeobrazi i podniesie świat. Przez długie szeregi wieczorów, spędzonych samotnie z milczącą gromadą tłoczących się dokoła niej malowanych postaci, połową żyjąca w świecie realnym, połową w Nieznanem, — wymarzyła sobie jakieś wspaniałe finale, wstrząsający epilog Cudu, — grzmiącą inwazję archaniołów, lub ludzi naznaczonych stygmatem świętości, którzyby porwali skarby-obrazy i wśród błyskawic roznieśli we wszystkie strony świata. Wierzy w to, czeka na tę chwilę cierpliwie. Nie wyrzeknie się nadziei swej łatwo. Nad czołem czuje jeszcze ciągle nimb wielkiej misji, dostojeństwo wybranki Anioła, który doniedawna tak zadomowionym był w małem mieszkanku, tak wiernie jej towarzyszył! Teraz latami czeka na przelotne jego pojawienie i oto pomimo niezłomnej wytrwałości i wiary poczyna ją ogarniać znużenie.

...Od dwudziestu trzech lat nie opuściłam mojego mieszkania na dłużej niż na trzy godziny... — pisze w jednym z listów, — ...nie mogę przecież zostawić Dzieła bez opieki... Cobym dała by móc choć na dzień jeden wyjechać za miasto, pójść w góry, albo odwiedzić rodzinę...

Równie smutno brzmią słowa listu pisanego w marcu b. r.

...Leżałam parę tygodni ciężko chora, bo gospodarz uparł się żeby teraz, zimą, restaurować mieszkanie... Potrzebowało tego istotnie, ale ja nie mogłam usunąć się nigdzie z mojemi obrazami... Przeciągi były okropne... Przeziębiłam się mocno... Wstałam już niby, ale ledwo chodzę... Co do obrazu, nie posunął się naprzód przez ostatni rok... Mój Anioł nie przychodzi... Ale jestem pewną że zjawi się w tych dniach i obrazu dokończę... — dodaje z pośpiechem, zdradzającym nurtujący ją niepokój.

Oby się zjawił! Nie podzielam tej nadziei, choć szczerze współczuję dobrej, uczciwej kobiecie, której życie zwichnęło się tak dziwacznie. Jeżeli się nie zjawi, jakże smutną będzie jej zawiedziona starość wśród Dzieła nieskończonego, obietnic nie dopełnionych! — Podobny los był zresztą udziałem wielu już ludzi pozostających „pod urokiem zaświatów". Historja Heleny Smith, vel Elisy Müller, wyróżnia się z pośród historji innych znakomitości medjumicznych, tem tylko że pozostawia po sobie trwały dorobek, rzecz realną, istotną: obrazy.

Nawet pozbawione uroku sensacji i porozdzielane, posiadają one dość walorów, by stać się przedmiotem czci, jako wyobrażenie Boga. Niewątpliwie, prędzej czy później znajdą się w kościołach. Tam przynależne im miejsce. Uświęcone błogosławieństwem i modlitwą, staną się receptorami łaski, która za ich pośrednictwem spływać będzie na spragnione dusze ludzkie. Rozgorzeją niby ognie zatlone wśród mgły, przez długie lata, długie może wieki. Dokoła początków ich owinie się czar legendy. Ale nigdy, przenigdy, nie dowiemy się czyja ręka malowała je n a p r a w d ę, w czyjej myśli zostały poczęte, w czyjej duszy pomyślane i z jakich sfer zeszły ku nam.

Zofja Kossak-Szczucka

Z PODRÓŻY NA ZACHÓD

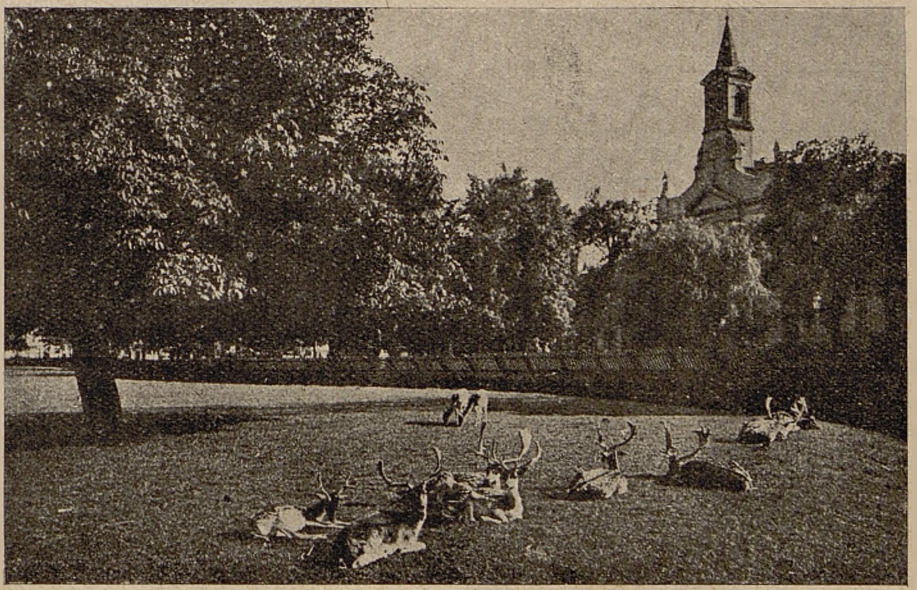


DŁUGO musiałem spać w wagonie, bo zbudziwszy się, widzę pośród pól piętrowe wille obrosłe dzikiem winem. Staremi lipami i drzewami owocowemi obsadzone, dziwnie czyste i gładkie drogi bez tumanów kurzu i dużo schludnie ubranych ludzi na rowerach. Minęliśmy widać granicę.

Rzeczywiście: w tualecie wagonu trzeciej i drugiej klasy jest mydło i zapas czystych ręczników do dyspozycji. Woda do miednicy nie ciecze po kropli, tylko tryska w obfitości, strumieniem. Widać, służy tutaj nie tylko do celów rytualnych. Zużyte ręczniki rzuca się do kosza. I leżą tak, niepilnowane i nieprzybite gwoździem.

Wielkie miasto po drodze. Słyszałem o niem zawsze rzeczy najgorsze. I czytałem w gazetach. Że nudne, brzydkie, bez gustu, ciężkie, a mieszkają w niem ludzie butni i okrutni, bez delikatniejszych uczuć i serca. Tak piszą jedni i to powtarzają inni.

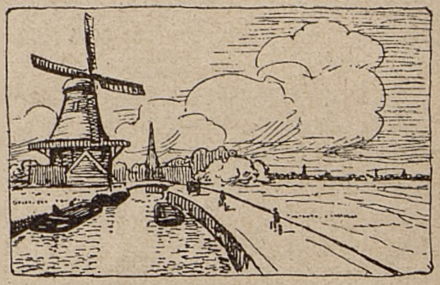
Na dworcu nie najgorzej. Nie trzeba ani skakać wpoprzek torów, ani pół kilometra iść do wyjścia, ściany wykładane kaflą, schody przestronne, powietrze czyste, miejsca dużo, jasno świecące napisy prowadzą obcego i swojego znakomicie. Ulica połyskuje asfaltem jezdni, potężne wentylatory wsysają powietrze pod ziemię i wietrzą tunele kolei podziemnej, drzew cienistych na mieście bez liku, parki, ogrody i trawniki stale otwarte i ze wszech stron dostępne, auta wygodne i czyste, patrzeć jest na co i spocząć jest gdzie. Ktoś myślał o tem, żeby poumieszczać ławki na mieście, gdzie tylko można, i udostępnić ludziom miejscowym i gościom zieleń i kwiaty w zacisznych zakątkach pośród monumentalnych gmachów. Udostępnił nawet pomniki. Nie odgrodzono zieleni od obywateli z pomocą ostrych gęstych sztachet, któreby udawały ozdobę — przeciwnie: miasto zaprasza wszystkich, jak może, żeby z zielenią i kwiatami obcowali zbliska, jak długo chcą i kiedy chcą. Pomniki mają umyślnie wkomponowane marmurowe ławy, na których wolno siedzieć. Koło pomników kwitną magnolje, migdały, głóg, bez; za niemi stare buki i klony — gęsty las w środku miasta.



Haga. — Zwierzyniec przed dworcem.

Ulicami można z przyjemnością chodzić, można i wystawy oglądać. Nigdzie człowieka nie opadają żebracy. Ani na przystankach tramwajów, ani pod oknami księgarń, ani nawet u wyjścia z lepszych restauracyj. Nie zdarza się widzieć pod ścianami wynędzniałych kobiet w łachmanach z niemowlętami na ręku, wyciągających nogi wpoprzek chodnika. Ani kalek z dzwonkami, leżących na ulicach w sąsiedztwie kościołów. To widok wogóle nieznany w krajach protestanckich.

W sklepach nie traktują człowieka ani oschle, ani zgóry, choćby drobiazg kupował, na ulicach informują chętnie, uprzejmie i jasno — widać, że miasto ani takie złe, ani takie brzydkie, jak o niem mówią niektórzy. Oczy trzeba mieć tylko otwarte, pamięć jaką taką, a uprzedzenia i gazety zostawić w domu. — Granica Holandji. Lokomotywy ciemno-zielonym kolorem pomalowane. U dołu, między latarniami zdobione czerwonym szerokim pasem. Mają na wierzchu kocioł, z świecącego mosiądzu. Wyglądają figlarnie.



Kraj równy jak stół i, zdawałoby się z okien pociągu, ubogi. Ani śladu żyta, pszenicy, ziemniaków; dużo odłogiem leżących piasków, porosłych tylko zrzadka wrzosem, to są tereny łowieckie, trochę moczarów i niezmierzone jasnozielone, jakby mokre pastwiska, pocięte gęsto aż do horyzontu kanałami. Na horyzoncie jakieś wiatraki, jakieś ostre wieżyczki starych kościołów, fabryk. Na pastwiskach nieliczne okazy bydła krasego. Krowy wszystkie jednej maści, przykryte workami, choć pogoda na dworze. Koło Haarlemu łany krwisto czerwone, purpurowe, różowe, żółte. Tulipany sadzą zagonami. Kanały biegną często szczytami niezmiernie długich, prostych pagórków, sztucznie wzniesionych. Zwierciadło wody wyższe, niż poziom łąk naokoło. Do morza trzeba również jechać pod górę.

Kraj, położony niżej od poziomu morza, został pracowicie osuszony i na olbrzymich przestrzeniach zamieniony w ogród. Piasek miejscowy trzeba było podłożyć przywiezioną kanałami ziemią, a potem cierpliwie wypielęgnować miljony jednakich hiacyntów i tulipanów, które stąd rozsyłają na cały świat. Kanałami płyną olbrzymie berlinki, pełne bratków, gwoździków, tulipanów. W pociągach podmiejskich w każdym przedziale flakon z tulipanami. Przed każdym domkiem tulipany. Ludzi mało widać. Przez pustą okolicę biegnie szosa. Połyskuje asfaltem. Obok jezdni gładkie, taflami wykładane, szerokie tory dla cyklistów. Dwóch mężczyzn pracuje motykami w polu. Obok dwa rowery. Bliżej miasta roi się na szosie od cyklistów. Pieszych nie widać. Tylko auta i rowery. Na czterysta tysięcy mieszkańców Hagi sto tysięcy płaci podatek od roweru. To znaczy, że każdy właściwie dojrzały mieszkaniec Hagi ma rower i poza obrębem domu porusza się tylko na rowerze. Drogi mają idealne i nie kradną maszyn zostawionych na ulicy lub przy drodze. Łatwo zgadnąć, ile zyskują na czasie, na świeżem powietrzu i na konserwacji dróg. Ludzie o sparaliżowanych nogach, starcy

i staruszki używają też wózków, poruszanych dźwigniami ręcznemi — rower jest tam tak rozpowszechniony, jak u nas obuwie. Nie zbytek, nie zabawka, nie sport, tylko powszechny, niezbędny środek lokomocji. I tak jest nie tylko w Holandji. To się zaczyna już zaraz, jak tylko minąć granicę Polski. Używają tego środka mężczyźni i kobiety, bez względu na wiek i zawód. Ponieważ w mieście wszelki ruch prywatny odbywa się wyłącznie na gumach, po idealnie gładkim asfalcie, więc na ulicach panuje cisza, przerywana tylko cichemi akordami dzwonków. Dzwonki u rowerów są w Hadze strojone w tercjach, przez co nigdy nie dają dyssonansu, jeżeli się ich odezwie kilka naraz. Tego rodzaju lokomocja nie wywołuje też wcale kurzu. O dziesiątki mil od miasta i w samem mieście jednako czyste drogi i powietrze. Nie wiem, co robią nauczyciele holenderscy, żeby dzieciom szkolnym wytłumaczyć, co to jest błoto i kurz na drodze, zapewne sięgają do filmów z Europy wschodniej.

W Hadze tuż koło dworca zwierzyniec. Jelenie, sarny, daniele pasą się na rozległej soczysto-zielonej łące między grupami starych klonów, wiązów, lip. W środku miasta jezioro i białe łabędzie. Nad tem dawny zamek książęcy i pałac renesansowy, mieszczący dziś świetną galerję obrazów. W mieście wiele zieleni, drzew, kwiatów, wody; naokoło miasta stary park, a nieco wyżej Scheveningen i morze. (Dok. nast.) *Władysław Witwicki*

*NA SŁONECZNEJ GÓRZE**

OBRAZ roboty szwajcarskich pedagogów nad naprawą zwichniętych, młodych dusz byłby niezupełny, gdybyśmy po zwiedzeniu uroczego „domku trzydziestu dziewcząt" nie poszukali podobnego mu siedliska, gdzie z równym nakładem starań i troski uprawia się zachwaszczony ugor chłopięcych serc i mózgów.

Więc pójdźcie jeszcze ze mną na zieloną górkę o świetlistem imieniu „Sonnenberg" w samem sercu Szwajcarji.

Niełatwo będzie tam dotrzeć. Możemy ugrzęznąć po drodze w zadumie nad starem pięknem drewnianego, krytego dachem i ozdobionego archaicznemi malowidłami mostu, albo nad urokiem stu innych zabytków Lucerny — możemy dać się porwać tysiącu czarom szmaragdowego jeziora Czterech Kantonów, albo pozwolić się uwieźć kolejce zębatej na czerwoną skałę pękatej Rigi, czy na iglastą koronę podobnego do dzikiego zamczyska Pilatusa.

Ominmy zwycięsko te pokusy, poprzestając na panoramie jeziora i gór, widnej z łagodnego stoku Sonnenbergu, a w nagrodę przypatrzmy się zbliska walce nauczycieli z szatanem, jaki siedzi w duszach kilkudziesięciu chłopaków w wieku od lat siedmiu do czternastu. Djabeł to wszelakiego gatunku i pochodzenia. Rodzi się najczęściej z braku opieki, pijaństwa rodziców, złego koleżeństwa, Bóg wie zresztą, skąd przychodzi — i robi z sympatycznych nieraz dzieciaków — kłamców, złodziei, zuchwalców, psotników, dezerterów z ławy szkolnej — a wkońcu kandydatów do więzienia.

„Rettungsanstalt für Knaben" — bo taka jest nazwa zakładu poprawczego na Sonnenbergu — ratuje takich małych straceńców przez lat już prawie siedmdziesiąt z chlubnem powodzeniem. Instytucja stara, ale odświeżana nowemi prądami pedagogicznemi, rewidowana w programach i statutach, idzie z duchem czasu. Dawniejszy, ostry regulamin zastąpiono obecnie łagodniejszym systemem traktowania wychowanków, nawet pozostawieniem im większej swobody, i — jak mówi dyrektor zakładu — metoda ta daje pomyślne rezultaty.

W pewnych określonych dniach mają chłopcy parę godzin zupełnej wolności i nie zdarza się, by w tym czasie popełnili coś zdrożnego lub spóźnili się na oznaczony termin. Bywają nawet w pojedynkę posyłani do miasta z koszami owoców, dostarczanych przez zakład na zamówienie, i zazwyczaj nie wyzyskują na własną rękę tych kuszących sposobności. Ludność okolicy zna wychowanków Sonnenbergu i współdziała solidarnie z ich opiekunami, skoro który z chłopaków próbuje wyłamać się z pod rygoru w czasie takich wycieczek.

Zdarzają się jednak wybryki, domagające się ostrej kary, czasami nawet niema przeciw nim innej rady, jak fizyczna chłosta. Oto przykład: Pewnego razu, gdy chłopcy szli gremjalnie do kościoła, jeden z malców, mając przy sobie otrzymane potajemnie od matki pieniądze, wymknął się z szeregów i wstąpił do sklepu, aby kupić sobie łakoci. (Trzeba wiedzieć, że wychowankom nie wolno przechowywać u siebie pieniędzy, ani na własną rękę nic kupować. Drobne kwoty, zarobione przez chłopców, czy darowane im przez rodziców, składa się w depozycie w dyrekcji.) Skarcony za niesforność chłopak uderzył w twarz nauczyciela i groził mu... skargą sądową. Oczywiście skończyło się na ojcowskiem „wyłojeniu skóry" małemu zuchwalcowi i karcerze, gdzie zbuntowany malec wyprawiał nieludzkie krzyki, próbując pięściami i butami rozwalić budynek zakładu — dopóki nie zawstydził się własnej niedorzeczności. Nie zawsze jednak „naprawa dusz" idzie tak opornie — wypadek przytoczony jest wyjątkiem. Pewien właściciel hotelu, którego syn systematycznie okradał gości — już po półtorarocznym pobycie chłopaka na Sonnenbergu — odebrał go z gruntu zmienionego i uszczęśliwiony oddał do szkół na dalszą naukę.

Chłopcy wychowywani są w duchu spartańskiej prostoty i karności. Wzorowa czystość, skromna odzież, proste, zdrowe jadło, twarda robota fizyczna w rozkosznem, górskiem powietrzu. Po lekcjach, które odbywają się w zakładzie według obowiązującego w Szwajcarji programu szkolnego, pracuje młodzież w polu, ogrodzie, przy gospodarstwie, podzielona na „rodziny", liczące po kilkunastu członków. Starsi opiekują się młodszymi, silniejsi moralnie wywierają dodatni wpływ na gorszych i słabszych. A nad wszystkimi czuwa mocna ręka wychowawców, którzy przywiązują się serdecznie do małych urwisów, o czem świadczą listy pisane przez dawnych nauczycieli „an die bösen, lieben Buben".

Przystąpmy bliżej i przypatrzmy się tym djabełkom. Oto właśnie stoją posłusznie w szeregach i śpiewają jakąś patrjotyczną pieśń szwajcarską. W żywych oczach czają się tu i ówdzie złośliwe chochliki, ale za niemi błyszczy spryt, inteligencja, temperament. Typów zbrodniczych „lombrosowskich" niewiele — matołków i upośledzonych zakład wogóle nie przyjmuje. Przeważnie są to dzieci, których natura i zdolności zapowiadają szerszy rozmach życiowy, a w niepomyślnych warunkach życiowych znalazły niewłaściwe ujście. Praca nauczycieli na Sonnenbergu — to ujęcie w ramy regulacyjne fal żywiołowego potoku, aby zamiast siać zniszczenie, pracował dla dobra ludzkości.

Ileż to u nas marnuje się bezpowrotnie takiego materjału ludzkiego, czasem bardzo wartościowego, ale spaczonego przez brutalność życia, przez brak umiejętnej, kierowniczej ręki...

Michalina Grekowicz-Hausnerowa

* Patrz mój artykuł p. t.: „Domek trzydziestu dziewcząt" w n-rze 8 i 10.

ZIELONA GODZINA

Dnie całe i całe noce
Słowikiem ogród dygoce,

Jakby w kochaniu zawziętem,
Ptak krzesał o diament diamentem;

W nut rozsypanych bezsensie
Staw żabim chórem się trzęsie...

W lesie, kukułka tętniąca
Bije godzinę bez końca,

Kłamie w zielonym zapale,
Wydzwania z upartą siłą

Godzinę, której nie było
I jakiej nie będzie wcale...

Maryla Wolska

BATIKI DRZEWNE STEFANJI ŁAZARSKIEJ

TRANSATLANTYK *„Ile de France“*, ostatnie słowo sztuki nowoczesnej i wykwintu, roznosi po świecie sławę największych artystów francuskich, przy tej sposobności jednak mówi też o polskiej sztuce dekoracyjnej, a że Polska jest krajem przyszłości, mówi o niej przedewszystkiem dzieciom.

Dekoracja sali zabaw dziecięcych na statku powierzona bowiem została art. mal. Stefanji Łazarskiej. Niestrudzona wyobraźnia artystki znalazła nowy sposób wypowiedzenia się. W czterech wielkich „panneaux“ zastosowała technikę batiku w drzewie, z odcieni drzewa, słojów, z nabarwienia przez specjalne farby i pokosty, stworzyła całość niezwykle oryginalną, sharmonizowaną z otoczeniem, przypominającą ciepłe tony starych, wykwintnych markieteryj.

Przedmiotem twórczym stał się świat dziecinnej wyobraźni. Urok jego przemawia zawsze do artystki głęboko, w ciągle nowych, bardzo rozmaitych formach. Pani Łazarska opowiada dzieciom przedziwne historje na drzewnych obrazach. W obrazie I-szym: *„Lampa Aladyna“*, pod promieniami cudownej lampy budzi do życia cały świat codziennych zabawek dziecięcych. Śmigają aeroplany, wirują karuzele, biegają pajace na szczudłach, huśtają się murzynki, kręci się fryga, kręgle padają, skacze abecadło, biegnie przysłowiowa Bécassine i gęsi za nią, wszystko w ruchu, wszystko dokazuje, pełne życia, prostoty i wesela, właśnie, jakby w bajkach Andersena, ożywione czarodziejską mocą.

Na obrazie drugim: *„Arka Noego“* pod snopem promieni wypuszcza na świat rozradowane stworzenia. Uderza tu zastosowanie motywu tęczy jako kadłuba arki, pewne wpływy rosyjskiej sztuki nowoczesnej w traktowaniu zabudowań na arce, oraz umiejętne wyzyskanie dekoracyjne motywów świata morskiego i egzotycznych zwierząt. O ile w świecie ptaków przeważają wpływy ludowej, łowickiej i krakowskiej sztuki (stylizacja pisankowa), to w scenach polowania i gonitw są wpływy płaskorzeźb starożytnych, assyryjskich, perskich lub starogreckich.

W ogród dziecięcy w stylu Stryjeńskiej wprowadza nas obraz III: *„Genowefa z Brabantu“*, najbardziej polski ze wszystkich, bo nawet w zamku Genowefy poznajemy szopkę krakowską. W ogrodzie kwiatów, żywcem przeniesionych ze skrzyń krakowskich, snują się zwierzątka humorystyczne, ptaki, murzynki, przesuwają się lokomotywy, wózki malowane, przebiegają auta, huśtają się konie na biegunach, gonią się dzieci z obręczami lub ślizgają się na „trottinette“, a zgóry patrzy na nie komiczny aniołek, rzewne wspomnienie najpierwszych lalek, stworzonych w Atelier pani Łazarskiej w pierwszych latach wojny.



Bawialnia dla dzieci na statku „Ile de France“.
Dekoracje batikowe Stefanji Łazarskiej.

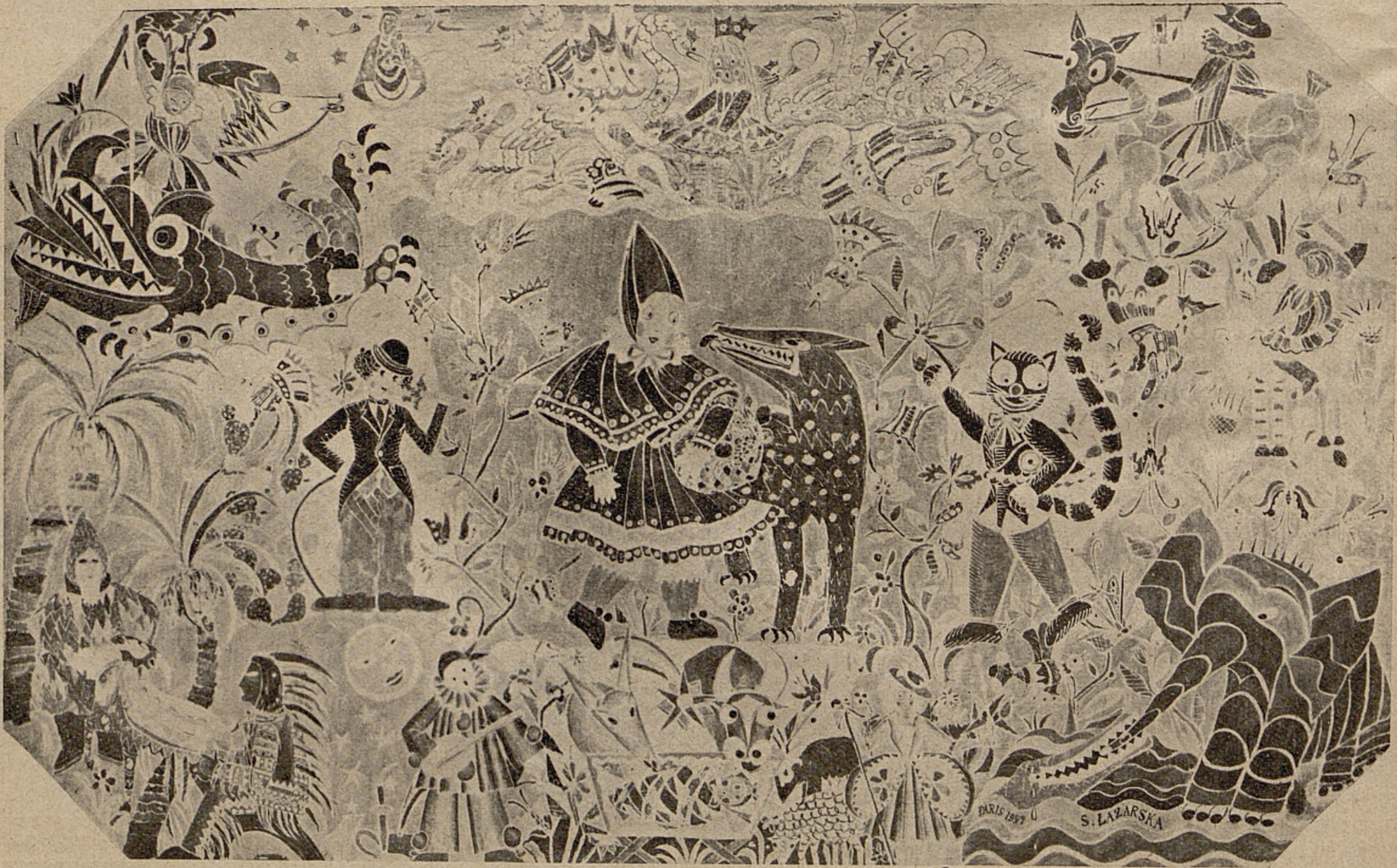
Baśnie i legendy przypomina obraz IV. Wśród kwiatów, motyli, rajskich ptaków poznajemy ulubieńca dzieci, zaanektowanego przez świat ich wyobraźni Charlota. Jest i „Kot w butach“ i „Czerwona Czapeczka“, jest św. Jerzy zabijający smoka, Don Kiszot i Szanso Pansza. W szkapinie Don Kiszota poznajemy wytwór inwalidów wojennych, dziwnego konika z ruchomych drewnianych gałek. Snują się motywy francuskich dziecięcych piosenek „Pierrot et la lune“, „Il pleut bergère...“ i i.

Całość przemawia do widza wielką poezją i świeżością kompozycji.

Nowość ta zyskała odrazu powodzenie. Ameryka przed rokiem już zwróciła się do artystki z szeregiem zamówień na dekoracyjne „panneaux“ do szpitalików i ochron dziecięcych. Obraz w tym stylu utrzymany zyskał pochwały na jesiennej wystawie Salonu Francuskiego. Luksusowe wille przy Lasku Bulońskim powierzyły pani Łazarskiej dekoracje dziecięcych pokoików. Wyobraźnia artystki wskrzesza w nich obrazy z dziejów dziecięcej duszy lub igra w barwne mozaiki humoru. Wyczarowując swe przedziwne fantazje z miękkich słojów i tonów drzewa, zajmie St. Łazarska niezawodnie przednie miejsce wśród dekoratorów wnętrz. *Lucy*



Bawialnia dla dzieci na statku „Ile de France": Lampa Aladyna.
Dekoracje batikowe na drzewie Stefanji Łazarskiej.



Bajki i legendy.
Dekoracje batikowe na drzewie Stefanji Łazarskiej.

NOC W GÓRACH

PEŁNIA. Szum niewidzialnej siklawy gdzieś w dole, jak oddech, zew wielkiego morza.

Poczucie przestrzeni, świadomość dali. Płaszczyzna hal pokrytych mgłami: Widok na nieskończoność.

U końca horyzontu falista linja gór, niedostrzeżona prawie, jak struna napięta i już cichnąca — melodji świata.

W świetle księżyca stoją minarety świerków, wierzyce jodeł nad urwiskiem skał.

Limba samotna marzy przetykana złotem gwiazd.

Spokój.

Nawet górale, jak zwykle nocą, nie koszą siana. Bezpiecznie pada rosa w ciszę kwiatów, przeznaczonych jutro żniwu.

Z wysokich kopic pachnie siano.

Od hali położonej wyżej płynie śpiew juhasów monotonny, smutny, synkopowany przy zakończeniu każdej zwrotki okrzykiem — haj.

W świetlistą przestrzeń nieba poleciał zbudzony ptak i zniknął.

Młody świerk jasnemi łapami wierzchołków do snu kołysze pająka.

Pod zapachem swoim upadają kwiaty.

Derkacz, ptak nocny w trawie trze, jakby kto ostrzył kosy.

— Sześć, sześć — upomina się o swoje skradzione jajka.

— Pono pięć, pono pięć — przerywa mu przepiórka.

Bąk wsadził dziób po oczy w wodę i buczy. Samczyki świstaków gwiżdżą na czatach.

Pośmieciuszka drepcze w trawie, ćwierka kuma stara.

Promień księżyca prześlizgnął się przez obłoki i polazł na halę. Trącił w różowe nosy śpiących stadami owiec, nawinął się wzdłuż rogów baranów, przyjrzał się psu owczarskiemu, który przez długie współżycie stał się podobny zwierzętom strzeżonym, zamigotał w miedzianych dzwonkach krów i zajrzał do wnętrza szałasu.

A w szałasie na klepisku watra się pali. Grule się pieką. W ślicznych z drzewa toczonych czerpakach żętyca stoi. Sery owcze w deseń wyciskane suszą się rzędami. Stary gazda chrapie. Juhasy gzią się po kątach.

Promień z chaty ucieka, ma dużo roboty. Na niego czekają górskie rumianki, żeby się przejrzeć w rosie, i sasanki kosmate. Lilja złotogłów chciałaby się pochwalić tem, że zakwitła przed tawułą krzaczastą, mieczyki, że nad trawą górują.

Promień odchodzi. Z lasu stojącego na prawo porwała się mgła, obłok zaplątany między szczytami gór przemknął, jak marzenie, czy skarga.

Coraz jaśniej. Na wzgórzach oświetlonych księżycem od traw odcinają się ciemne plamy kosówki.

Łańcuchy Tatr ciągną się równoległemi rzędami. Ku niebu sterczą szczyty nagie, samotne, ogromne zamyślenie.

W żlebach śnieg błyszczy.

Nagle zerwał się szum.

Czy go przynoszą jodły chwiejące, na klawiszach gałęzi, czy chmury czeszące się na szczytach gór.

Tuż przy szałasie wyszła z traw łasica. Miała źrenice małe ze złotą tęczówką, głowę okrągłą, miłą, uszy niewielkie. Za wydłużonem zwinnem ciałem wlókł się ogon.

Łasica w pysku trochę wzniesionym niosła ptaka.

Drobna czaszka dzwońca niedbale rozbijała się o kamienie, zwisła bezsilnie. — Dziób jeszcze z żółtem obrzeżeniem plątał się w trawie. Łasica puściła pisklę. Ciało spadło w kwiaty, było martwe.

Pchnęła łagodnie nosem ptaka. Różowym językiem zlizywała ciepłą jeszcze krew, przewróciła nawznak, nic nie tracąc ze swej roli spokojnej, wytwornie, prawie jak dama, mająca we krwi umiar gestu, odgryzała z flegmą głowę. Trzeszczały kości, z za zębów przeciekał mózg.

Po skończeniu otrząsnęła łapy, przeciągnęła się skrycie i weszła w zarośla.

. . . . Znowu milczenie zaległo hale, tylko odegnane wiatrem mgły otworzyły perspektywę dalekich gór, ich linję krzywą odległą, jakby lądu widzianego na morzu, czy obłoku na dalekim niebie.

Halina Marja Dąbrowolska

PRAWDA POCAŁUNKU

NOWELA

2)

— JA mam przyjść do ciebie, czy ty tu do mnie?

— O, jaka dowcipna! — Stukał przytem laseczką w drzwi.

— Podobają ci się moje drzwi?

— Wszystko mi się podoba u ciebie.

— A ja?

— Ty nadewszystko!

Umówili się na widzenie za parę dni, on biegł po schodach szybko, żeby się nie spóźnić na obiad, a ona myślała — bo kobieta, wbrew temu co o niej mówią, myśleć nigdy nie przestaje, że jest trochę inny, niż jej się wydawał, inaczej o miłości mówił i pisał, a także — że do innych uczuć tęskniła. Przecież kobieta jest jak lira, trzeba ją nastroić, zanim się grać zacznie... Ale ponieważ był bardziej od innych miły, zupełnie miły, uwodzicielsko miły, więc — nie mógł być jak inni.

— — — — — — — — — — — — —

Trwało to... Jak każda historja miłosna, miało swą specjalną chronologję. Raz to było bardzo długo, a drugi raz — bardzo krótko.

Bo były różne przeszkody w szczęściu. To gdzieś nagle musiał wyjeżdżać, miał niespodzianych gości lub ktoś z rodziny zachorował — więc przejść nie mógł. Ale zawsze na czas zawiadomił o zmianie projektów i bardzo tego żałował. Listy jego były krótkie, powściągliwe niby, a takie zachwycające w swej miłej prostocie, takie dalekie od bezmyślnej elokwencji i wymuszonej retoryki innych jej wielbicieli. Nazywał ją poprostu „kochana” lub „droga”, nie bawiąc się w jakieś karkołomne spieszczenie jej i tak pięknego imienia. Zresztą imienia tego wogóle widocznie nie lubił, bo go nie używał nigdy, ale w jego listach „kochana” i „droga“ były to słowa pieszczotliwe, jedynie dla niej stworzone. Tem bardziej, że opatrywał je drobnem a wymownem „moja“, które przecież zawiera w sobie nieskończone bogactwo uczuć i wielkie skarby pieszczot...

Czas jego nieobecności trawiła na badaniach grafologicznych. Pismo jego zastanawiało ją i zapomocą tej mimowolnej pieczęci duszy duszę chciała odtworzyć. Myślała długo coby to mogły znaczyć te dziwne linijki, plączące się nagle, a zgoła niepotrzebne między literami. Bo kończył się jeden znak i można było odrazu przejść do następnego, a tymczasem ręka jego kreśliła jakieś naddatki i nadbudówki. Doszła do wniosku, że te naddatki i nadbudówki — to nieomylny dowód fantazji, wprawdzie w jego usposobieniu niewidocznej, ale istniejącej, na dnie ukrytej. Ślad swój pozostawiała w piśmie, które *przecież* jest niekłamanem odbiciem charakteru. I była dumna, że ona znalazła, wykryła to, z czego może

sam nie zdawał sobie sprawy. Lubiła też patrzeć na stemple pocztowe, szczególnie na nazwy ulic wybite na jego listach. Niby to nie jest rzecz tak ważna, ale stempel — to nitka Arjadny, która w labiryncie wielkiego miasta prowadzi myśl tam, gdzie on był. Nie wiadomo dlaczego, specjalnie lubiła pewien stempel i pewną ulicę. Może dlatego, że ta poczta znajdowała się najbliżej jego domu.

A drugie zajęcie, miłe a pożyteczne, to było badanie języka, obcego jej, który to język za język swej miłości obrali. Cóż z tego, że zatruto jej dzieciństwo gramatyką Noëla i Chapsala i że język francuski znała praktycznie i teoretycznie. Znała go dla innych, nie dla siebie. Czytała tysiące romansów, ale przecież wszystko jedno, czy w tym zwrocie, czy w tem wyrażeniu, mieści się mniej czy więcej uczucia bohatera dla bohaterki. Odczucie, finezje drobne, obojętne dotąd, stały się niewyczerpanem źródłem dociekań. Dla celu własnego a najważniejszego robiła wiwisekcję języka, uczyła się słownika miłosnego i ubolewała nad jego kulturalnem barbarzyństwem. Zamiast jasnych i niezawodnych polskich: „kocham“ i „lubię“ jest tylko jedno: „aimer”, mogące zmieścić w sobie zarówno najwyższe szczęście jak i różne jego gradacje. Z większem niż kiedy zajęciem czytała listy swych wielbicieli i prowadziła studja porównawcze. A nawet była tak niedobra, że gdy usłyszała wynurzenie miłosne, podobne do tego, które od niego słyszała, przerywała je pytaniem: „A co to właściwie znaczy? A gdyby było tak, to byłoby mniej, czy więcej?” Bo przecież do *aimer* dość dodać jakiś przysłówek, a już się cały jego sens zmienia! Kazała więc budować stopnie, ważyć na szali uczuć i mierzyć miarą serca, to co się ani zmierzyć, ani zważyć nie daje, i bardzo się gniewała gdy jej tłumaczono, że cały wdzięk polega na tem, iż każdy operuje tem słówkiem stosownie do swego nastroju i stosownie do momentu.

Zresztą wiedziała, że w jego objęciach zapomni o nabytej mądrości i wierzyć będzie najwyższej, niezawodnej mądrości — pocałunku.

— — — — — — — — — — — — —

Gdy raz zbyt długo jeździł, poszukując swe złote runo po ziemi, bo od ukończenia wojny latać nie lubił, posłała mu taki liścik:

„Mój drogi mały!

„Dziewiąta wieczór, deszcz pada, smutno, jestem sama.

„Przynoszą mi Twój list.

„Już nie jest smutno!

„Cieszę się że Twoje sprawy idą dobrze, i rozumiem że wymagają Twej obecności.

„Tak, list mój czeka na Ciebie. Ale to nic. List czekać umie.

„Chciałabym móc Ci powiedzieć: Do jutra“.

Nazwał list ten milutkim i zapowiedział rychły powrót.

— — — — — — — — — — — — —

Laura leżała w łóżku, gdy kuzynka Hela przybiegła ją zapytać, czy pójdzie dziś na bal maskowy.

— Nie pójdę. Czuję się niedobrze.

— A miałyśmy się tak zabawić! Intrygować. Twój *ami* ciebieby nie poznał.

— Mówił, że nie pójdzie, bo ma jakieś pilne zajęcie.

— To właśnie, że pójdzie.

— Jakaś ty podejrzliwa!

— Kto tam wie co mężczyzna myśli...

— Nie znasz go, a takie rzeczy mówisz!

— Ciekawa go jestem. A ty nawet nazwiska nie chcesz mi powiedzieć. Tem bardziej pokazać...

— No to dobrze, dobrze! Przyjdź kiedy, gdy tu będzie.

— Nie, nie, nie chcę psuć wam sielanki. Czy jak się to tam nazywa? Jakież są jeszcze rodzaje literackie? bo zapomniałam.

— Są jeszcze humoreski, dramaty...

— Ale tu dramatu nie będzie?

— Na pewno nie. Przyjdź.

— Ale nie gniewaj się, jeżeli twego zachwytu nie podzielę. Wszyscy mężczyźni nie mogą się wszystkim kobietom podobać.

— Nawet tego nie potrzeba. Cóż — dla mnie ma on wielki urok... Ogromny czar. Widzisz, minęły czasy, gdy ludzie umieli na innych rzucać uroki. Rzucać już nie umieją. Dar ten zanikł. Ale pozostała bierna zdolność poddawania się czyjemuś urokowi. Bez jego woli nieraz i wiedzy. Ulega się czarowi oczu — niewiadomo nawet czasem błękitnym, czy czarnym. A nawet ładnym czy brzydkim. To tak jak nie zawsze możemy zdać sobie sprawę dlaczego ten widok czyni na nas wrażenie. Co się na to składa? powietrze, zieleń, woda?...

— Albo my sami?

— Albo my sami. Rozgadałam się, a ty się śpieszysz.

— Lora, chciałam cię o coś prosić. Ale stanowczo nie idziesz?

— Mówiłam ci — stanowczo nie idę.

— Pożycz mi swe srebrne pantofelki. Chciałam wziąć lakierki. Srebrne będą lepsze do mego kostjumu.

— Naturalnie, moja „czarodziejko”.

— Miałam kupić, ale zabrakło mi pieniędzy. Bo to już dziś dziesiąty. W tym konsulacie tak marnie płacą!

— Że nawet do dziesiątego nie wystarczy? Bardzo chętnie.

— Dziękuję ci.

— Nie masz za co dziękować. To tylko rewanż. Są w przedpokoju na dolnej półce. A papier i sznurek...

— Wiesz, ja ich jeszcze teraz nie zabiorę. Bo idę do fryzjera. Wpadnę potem. I tak chciałabym wiedzieć, jak się będziesz czuć...

— Mam nadzieję, że będzie mi lepiej.

— To może się namyślisz i pójdziesz?

— Nie. Na pewno nie.

Zaraz po wyjściu Heli przyszedł Oskar.

— Wiesz, moja kuzynka była tu przed chwilą. Pewno rozminęliście się na ulicy...

— Nie, przyjechałem autem. Czeka na mnie. Mam mnóstwo zajęcia. Dziś i jutro. Nie lepiej ci? Idziesz na bal?

— Trochę lepiej. Ale na bal nie pójdę. A ty?

— Ja, ależ nie mogę... I bez ciebie! Zresztą prawie nie tańczę. A ty naprawdę tak się źle czujesz, że nie pójdziesz?

— Mówiłam ci...

— A ja nie mogę być przy tobie i już muszę iść.

— Idź! Przyjdziesz jutro?

— Naturalnie.

Pocałował ją w usta i rozsypane po poduszce włosy. Wychodząc, w przedpokoju potknął się o coś. Śmiała się:

— Po powietrzu to umiałeś latać, a u mnie się potykasz. Co się stało?

— Nie zapaliłem światła. Tu coś przy drzwiach stoi.

— Zapal. To moje pantofelki.

— A co one tu robią?

— Stoją.

— To dobre zajęcie dla pantofelków!

— Bywają i lepsze: chodzić i tańczyć.

— Ale ty w nich dziś nie będziesz tańczyć?

Śmiała się serdecznie rozbawiona:

— Nie, ja będę w nich chodzić, tańczyć.

— Dowidzenia ci, moja droga. Bona nota!

— Dowidzenia ci, mój mały!

Na drugi dzień przyszedł przed południem i przyniósł ponsowe róże.

Był znużony pracą i trochę smutny.

(C. d. n.) *Aurelja Wyleżyńska*

DZISIEJSZE STARANIA O UPIĘKSZENIE I ODMŁODZENIE CIAŁA

Z PODRÓŻY NAUKOWEJ PO EUROPIE

NIEMA dziś starych, zwłaszcza niema starych kobiet! Wiek balzakowski kobiety przesunął się już ponad pięćdziesiątkę. Mężczyznom bardziej uchodzi starzeć się, ale to ich własna wina, bo nie dbając o samych siebie, nie są też przedmiotem fachowych starań, chyba gdy chodzi już o zupełny zanik sił żywotnych. Zresztą na ich szczęście w modzie są „starsi panowie", u których siwizna po bokach, a częstokroć sztucznie spowodowana na całej głowie, wygląda przecież przy młodej jeszcze twarzy tak interesująco...

Ale właściwie niema też dzisiaj i brzydkich kobiet, niema brzydkich rysów, fałdów, zmarszczek, obwisłych kształtów, szpecących blizn, plam i t. p. Na wszystko znajduje się rada i tej rady coraz częściej się szuka. Ciągle być młodą i ciągle ładną — to rozpowszechniające się hasło wśród dzisiejszych kobiet.

Nie potępiajmy i nie wyśmiewajmy, ale przyznajmy, że jest to zjawisko niesłychanie miłe a w skutkach nawet bardzo doniosłe. Cóż zyskiwały nasze babcie, a choćby nawet i mamy, że około czterdziestki rezygnowały z życia i przechodziły w przedwcześnie zasłużony stan spoczynku? W atmosferze rezygnacji zatracały same siebie, wyzbywały się życia i jego radości, a w otoczeniu budziły jeżeli nie uśmiech współczucia lub złośliwości, to co najwięcej obojętność, niebranie ich w rachubę, albo zyskiwały pełne napozór szacunku ale smutne miano „matron". W tych warunkach już przez samą sugestję starzały się i więdły. Dzisiejsza kobieta wypowiedziała walkę tym poglądom i zwyczajom, zmienia tryb życia, uczy się żyć higjenicznie, hołduje gimnastyce, grom, zabawom i sportom, przystosowuje strój do zmienionych okoliczności, szuka pomocy i rady, by sobie zapewnić urodę, świeżość i gibkość, walczy skutecznie z występującemi objawami starości, a co najważniejsza wierzy w swą młodość i urodę i umie nie rezygnować z radości życia. Sama przez to zyskuje i zyskuje otoczenie. Czyż nie jest to najlepszym środkiem na przedłużenie życia? Czyż nie jest to higjenicznem zapobieganiem starości?

Oczywiście, nie wszystkim i nie zawsze się to udaje i nie mam tu także na myśli jednostek, które w nie harmonizującej z rzeczywistością przesadzie stają się raczej pośmiewiskiem i karykaturą, aniżeli przykładem urody i młodości. Naogół jednak biorąc, przy dobrej woli i staraniach, mnożą się coraz częściej dodatnie rezultaty.

W jednym z pierwszorzędnych paryskich instytutów piękności, t. zw. l'Université de Beauté „Cédib" rozmawiałem z dyrektorką zakładu, osobą bardzo urodziwą, o harmonijnych kształtach, zadziwiającej elastyczności i wdzięku w ruchach, którą sobie oceniłem na lat około 30—35. Na me zdziwienie, że w tak młodym wieku stoi na czele zakładu — usłyszałem odpowiedź: „Ależ, panie, ja mam lat 56 i mam już 36-letnią córkę", a na dowód prawdziwości jej słów przedstawiła mnie swej córce, która właśnie nadeszła. Mówiono mi, że ta „młoda" mama ma szalejących za nią adoratorów. Nie zdziwiłem się temu.

A Mistinguette, która przekroczywszy sześćdziesiątkę jest przedmiotem adoracji męskiej, skonkretyzowanej, a która tańczy jak baletnica, bierze co wieczór udział w 10 odsłonach rewji taneczno-wokalnej, budząc zachwyt nóżkami? Tak, cokolwiekby się myślało — jest to przecież bardzo miły a osiągalny postęp. Mam wrażenie, że ambicja, chęć zachowania młodości, ruch i ciągła praca ułatwiają ten postęp, podtrzymują ducha i ciało.

Ale przejdźmy do właściwego tematu. Do podniesienia urody kobiecej, do jej wypiększenia, do zatarcia lub usunięcia zwiastunów i objawów starości, oraz do usunięcia błędów i wad w urodzie — prowadzą trzy drogi, które zresztą często schodzą się razem i nawzajem posiłkują. Trzy te drogi znajdują wyraz i odzwierciedlenie w trojakiego rodzaju zakładach, instytutach i metodach postępowania.

Pierwszy rodzaj to t. zw. „instytuty piękności", niekiedy nawet, niewiadomo dlaczego i za czyjem zezwoleniem nazywające się „uniwersytetami piękności".

Klientka „szanująca się" przychodzi do nich 1—2 razy w tygodniu (można i codzień), usadawia się na fotelu jej wskazanym i z wyjątkowem u kobiety posłuszeństwem pozwala przez $1^1/_2$—2 godzin różnemi przetworami myć sobie i nacierać szyję i twarz, natłuszczać, masować, nakładać płynne maseczki, czasem naświetlać jakąś lampą, a wkońcu po powtórnem zmyciu i natłuszczeniu, malować policzki, czernić rzęsy, brwi (te ostatnie wyrywać do modnej linji) i górne powieki, karminować „w serduszko" lub całkowicie usta. Wychodzi dumna, zadowolona, i całkiem inna, nie do poznania.

Zakłady takie, których skromne minjatury mnożą się i u nas coraz liczniej, prowadzone są przez osoby nie mające nic wspólnego z lecznictwem ani nawet z higjeną zapobiegawczą, prócz tego chyba że cały personal instytutu i sama klientka ubrana bywa w śnieżno-białe fartuszki. Wszystko i wszyscy w takich zakładach mają naturalnie przekonanie o swej ogromnej wiedzy, przeświadczenie o doniosłości i skutkach swych zabiegów.

Warunkiem powodzenia i skutków jest konieczność nabywania przez klientelę preparatów kosmetycznych danego instytutu, jako „jedynie skutecznych i wypróbowanych". Każdy niemal instytut ma swoją własną wytwórnię przyborów i środków toaletowych. Wszystko to ślicznie pachnące, ślicznie opakowane i skrupulatnie na wszystkie ewentualności powyznaczane. Pierwsze miejsce co do rozmiarów powodzenia i przepychu takich instytutów zajmuje Paryż. W Berlinie i Wiedniu są już daleko skromniejsze. Oprócz mnóstwa drobniejszych — jest w Paryżu 4—5 na wielką skalę urządzonych instytutów. Przy niektórych istnieją szkoły (kursa) maquillage'u i masażu, na których spotkać można uczenice niemal z całego świata, rekrutujące się przeważnie z kobiet nie wiedzących co ze sobą zrobić, o niezdecydowanej inteligencji, bez jakichkolwiek studjów z anatomji, fizjologji i biologji, wyczuwających natomiast dobrze, że teren starań o t. zw. „modną piękność" może być łatwem i lukratywnem zajęciem. Znajdują one potem albo zajęcie w wielkich zakładach, albo otwierają skromne zakłady u siebie w domu. Wyjątkowo spotyka się w gronie uczenic osoby o poważnych studjach, które naocznie chcą się przypatrzyć krytycznie, co i jak się tam dzieje i coby można przecież poważnie zużytkować (spotkałem taką jedną doktorkę medycyny z Moskwy).

Środkami, na których upiększanie w takich instytutach spoczywa, są: masaż twarzy i szyji (w czterech jego odmianach: francuskiej, niemieckiej, amerykańskiej i rosyjskiej), parówki twarzy, najrozmaitsze maseczki (masques de beauté), w bardzo skromnym zakresie heljoterapja (najczęściej światło fioletowe), niekiedy złuszczanie naskórka, epilacja włosów (środkami chemicznemi, czasem prądem elektrycznym), a poza tem kosmetyka perfumeryjna i maquillage.

Lotiony, octy toaletowe, cremy, pudry, czernidła, wszystko to stosowane z niezwykłą maestrją, massage z niebywałą wprawą. Wyjątkowo tylko instytuty wielkie przekraczają ten zarys zabiegów, częściej czynią to nasze skromne naśladownictwa, które nawet uprawiają kurfuszerkę.

Gdyby mi przyszło wyrazić obrazowo wartość zabie-

gów i metod takich instytutów — tobym powiedział, że upiększa się tam na krótką metę, na jeden wieczór, na dwa do 3 dni (na tydzień trzeba już emalji, któraby się dłużej twarzy trzymała) i to upiększa sztucznie. Czy to jest naprawdę upiększanie i odmładzanie, jakie to skutki pociąga dla skóry na przyszłość, o tem tam nikt nie myśli, nikt się nad tem nie zastanawia, a najmniej zapewne sama klientka zakładu. Wychodzi przecież po takiej wizycie taka ładna, taka inna, że rozumiejąc psychikę kobiecą a przypatrując się dzięki uprzejmości zarządzających pań, powtarzałem sobie w duszy: „życie składa się z chwil, a o powodzeniu kobiety decyduje częstokroć chwila.

Charakterystyczną jest rzeczą, że wtych zakładach poza twarzą i szyją na resztę ciała, jego warunki biologiczne i higjeniczne nikt nie zwraca uwagi (wyjątkowo stosują gimnastykę dowolną metodą i kuracje odtłuszczające), oraz że żaden z tych zakładów nie przyjmuje klientów — mężczyzn. Niema też, jak mnie informowano nawet w Paryżu, takich instytutów dla mężczyzn. Mężczyznami opiekują się... fryzjerzy.

Oczywiście, w świecie naukowym lekarskim, w gronie higjenistów, wychowawców i poważnych badaczy sposobów dążących do przedłużenia młodości i racjonalnego upiększania i odświeżania organizmu ludzkiego, instytuty powyższe uważane są za malum necessarium, za coś z czem trudnoby było skutecznie walczyć wobec psychiki kobiecej i wobec odwiecznych jej zwyczajów. Świat ten trzyma się zdaleka od tej niby dyskretnej a jednak publicznej metody toaletowej, nie bierze w nim udziału i z mniejszym lub większym uśmiechem politowania czy pobłażania obok sprawy przechodzi. A szkoda, bo właśnie tego rodzaju sprawy powinny być należycie wyjaśnione i przez powołane czynniki ograniczone. Np. tu już zaznaczyć muszę, że jeden z głównych zabiegów tych instytutów t. j. massage twarzy — przez wszystkie powagi naukowe uważany jest raczej za szkodliwy i niszczący tkankę podskórną, aniżeli za pomagający do naprawy tej zwiotczałej tkanki.

(C. d. n.) *Dr Władysław Hojnacki*

NIEDYSKRECJE SŁOŃCA...

ZACHWYTY nad słońcem, nad zbawiennym wpływem na zdrowie i radosnym nastrojem jaki w nas budzą promienie jego — to jedna strona tego cudownego zjawiska. Znamy i inną jednak, tę nieco ciemniejszą, która w pewnych okolicznościach zatruwa goryczą serca wielu pięknych pań.

Pomijając już zupełnie nieuprzejmy wpływ słońca na powstawanie piegów, pomówimy dziś o czemś innem, nad czem może nie każda z pań zastanawiała się dotychczas, a mianowicie o niedyskrecjach popełnianych przez słońce.

W zimie, w przyćmionem świetle dziennem, przy sztucznem oświetleniu wczesnych wieczorów, jakże łatwo mieć piękną, gładką cerę, bez wad, wprost nienaganną, olśniewającą. Dyskrecja zimowego światła jest nieporównana, nieprześcigniona w swej wyrozumiałości, w łagodnem tuszowaniu drobniejszych i większych nawet usterek cery, włosów, oczu i t. p. Działa jak retuszer usuwający niepożądane błędziki w sposób pełen artyzmu i wersalskiej uprzejmości wobec pań.

Ale wiosną i latem, gdy młode słońce, rozgorzałe nadmiarem świeżych sił, rzuca jaskrawe promienie prosto w twarz — o ileż smutniej przedstawiają się owe „nieskazitelne” cery, podziwiane w zimie. Z rozbrajającą szczerością młodego wieku, z całą jego bezwzględnością wyławiają bezlitośnie najmniejszą plamkę, fałdki, pory rozszerzone, znużenia dookoła oczu, prawie niedostrzegalne wągry, niezdrowe zabarwienie cery i te przeróżne skryte udręczenia ambitnych piękności. Wówczas to wydaje się im słońce niedyskretnym wrogiem, ujawniającym złośliwie ich najsłabsze strony.

Bezstronnie i spokojnie rozpatrując tę zdradziecką działalność słońca, przyszłyby jej ofiary bez przekonania, że są to tylko niekorzystne pozory, zaś w istocie ma się tu do czynienia z życzliwą przysługą.

Niedostrzeżone w sztucznem świetle i w półmrokach usterki cery, pozostawione bez leczenia, pogarszają się z każdym dniem i podkopują urodę. Z chwilą zaś zauważenia ich, dochodzi do świadomości grożące niebezpieczeństwo i zmusza do przeciwdziałania. Wiedza kosmetyczna stoi obecnie tak wysoko, że na wszystko znajdzie się rada, byle tylko była ochota do wykonywania wskazówek i ścisłego ich przestrzegania. W naszem piśmie podajemy systematycznie artykuły z dziedziny pielęgnowania urody i usuwania wad cery. Uwzględniamy kolejno poszczególne jej braki i błędy i podajemy sposoby postępowania wedle ostatnich zdobyczy wiedzy. Nie zapominamy o sezonowych zmianach i dolegliwościach, tak, że Abonentki nasze mogą czerpać ze wskazówek wedle indywidualnych zapotrzebowań. Przy pomocy nieszkodliwych środków domowych, na które podajemy wypróbowane recepty, można usunąć sporo niekorzystnych zmian, a jeszcze łatwiej zapobiegać ich powstawaniu.

Wprawdzie powietrze, woda i słońce są najlepszemi środkami kosmetycznemi, ale wyłącznie same one nie wystarczają. Po wtóre, trzeba je umieć wyzyskać do tych celów. Najlepszym przykładem są wieśniaczki, które przebywają nieustannie na świeżem powietrzu i w słońcu, a znacznie szybciej od mieszkanek miast mają zrujnowane cery i starzeją się nieporównanie prędzej.

Właśnie więc w lecie wymaga cera zdwojonej pielęgnacji i zabezpieczenia przed zbyt silnem działaniem słońca i nadmorskich lub górskich wysuszających wichrów.

Wśród błędów piękności, które jasne światło słoneczne odkrywa, znajdują się i włosy: Matowość ich występuje w całej pełni. Brak naturalnego połysku, zastępowany w zimie z dużem nawet powodzeniem brylantyną, w promieniach słońca jest natychmiast zdemaskowany. Sztuczny połysk razi wówczas i działa odpychająco, tak że wolimy już raczej matowe, jakby spłowiałe włosy, aniżeli natłuszczone.

Skóra głowy wymaga, również jak cera, systematycznej pielęgnacji, o czem nie wszystkie panie chcą pamiętać. Jeśli weźmiemy pod rozwagę, że skóra pokryta włosami transpiruje łatwiej i silniej, aniżeli twarz, zrozumiemy konieczność przestrzegania czystości i częstego mycia. Gdy gromadzące się wydzieliny skórne, pył a czasem łupież, zatkają pory, wówczas upośledzony obieg krwi sprowadza różne dolegliwości, a między innemi wypadanie włosów i utratę połysku. Amerykanki, których gęste, jedwabiste czuprynki zachwycają nas wszystkich, zrozumiały pierwsze, czem jest racjonalne pielęgnowanie włosów i skóry głowy. Ameryka wprowadziła do Europy masaż skóry głowy; shampoon natłuszczony, częste mycie — a i dobrodziejstwo mody krótkich włosów stamtąd przywędrowało do nas. O ileż bo łatwiej i wygodniej pielęgnować krótkie, aniżeli długie włosy.

Również i pierwszy srebrny włosek, kryjący się w gęstej czuprynce, prędzej wyłowi oko w świetle słonecznem. A wówczas nic łatwiejszego nad zabieg Henną, która nietylko nie szkodzi, ale wzmacnia cebulki włosowe i dodaje połysku. Jest nawet jej odmiana, zwana Hennévital, która nałożona na pół godziny na chore włosy, wzmacnia je i zapobiega wypadaniu.



551 552 553



554
555
556

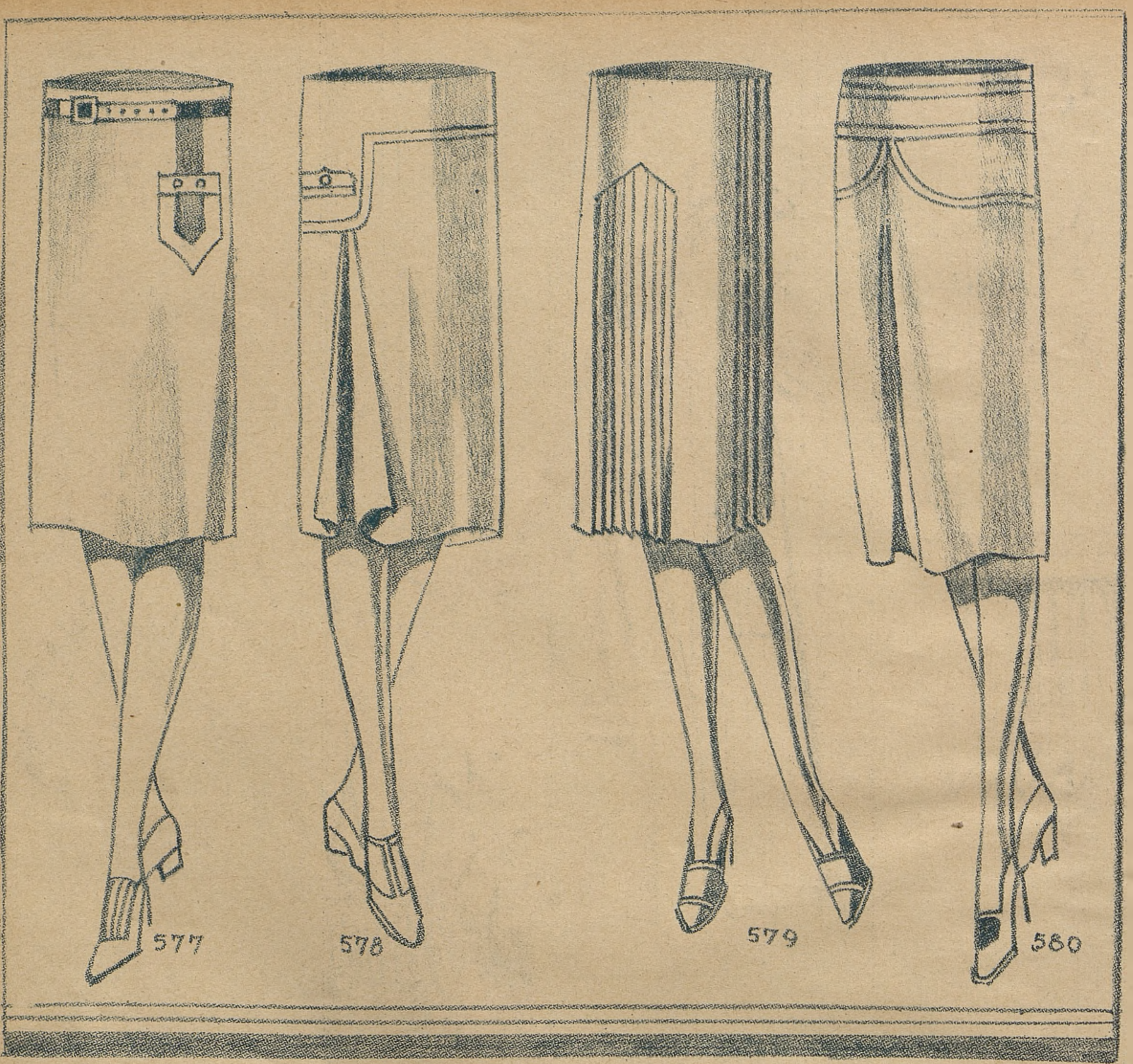

557
558
559


560
561
562


563
564
565
566


567
568
569
570
571
572


573
574
575
576



551. Toaleta dla matki panny młodej, oryginalnie skombinowana z czarnej i białej crêpe satin i z koronki. Czarna draperja na ramieniu i w pasie ujęta klamrami biżuteryjnemi.
552. Toaleta ślubna z białej crêpe soleil, spód spódnicy i falbanki przy rękawach z koronkowego materjału. Na staniczku karczek zaznaczony srebrnym haftem.
553. Suknia dla drużki z jedwabiu staro-niebieskiego i wstążek atłasowych w tym samym kolorze.
554. Suknia na sezon przejściowy z lekkiej materji wełnianej, częściowo plisowana. Wykładany kołnierzyk, pasek i krawateczka z złoconej skóry.
555. Suknia na sezon przejściowy z lekko tkanej kashy w kolorze kwiatu lipowego, ozdobiona zakładeczkami i plisą na guziczki.
556. Suknia na sezon przejściowy z wełnianej marocain. Spódniczka plisowana z kontrafałdem z boku. Pasek i mankieciki z wstążki woskowanej.
557. Szykowna suknia popołudniowa z crêpe de Chine lub fularu w fiołkowe centki na zielonem tle. Kamizeleczka i kołnierzyk, tworzący żabot, z jasno-zielonej crêpe Georgette.
558. Szykowna sukienka z crêpe Georgette gładkiej w kolorze berlińskiego błękitu, całej plisowanej. Górna część staniczka i rękawy z kremowej crêpe Georgette w centki w kolorze sukni. Pasek z dwubarwnej irchy.
559. Suknia południowa z crêpe de Chine w kolorze perłowym, deseń fiołkowy. Spódniczka tworzy z boku obfite fałdy i rozchyla się na spodzie z tego materjału. Wypustki z jedwabiu fiołkowego.
560. Kombinowany kostjum, spódniczka z francuskiego woalu beige, żakiecik z bronzowej kashy.
561. Płaszcz z granatowego materjału wełnianego.
562. Kostjum sportowy z lodenu. Przód można odpinać jako wyłóg. Jako wykończenie steben.
563. Skromny kostjum z materjału wełnianego. Spódniczka z głębokim fałdem z przodu.
564. Suknia płaszczykowa z grubego jedwabiu w kolorze champagne, ozdobiony ciemniejszym sznureczkiem. Guziczki galalitowe. Futerko dobrane do tonu.
565. Suknia z cienkiego sukienka w kolorze lawendowym. Wypustki i pasek z skóry granatowej.
566. Płaszczyk z jedwabnego jersey'u, przybrany futrem.
567 — 572. Bluzki letnie i do kostjumów: z płótna jedwabnego, wełnianej marocain, crêpe satin, użytej po dwu stronach, georgette'y w kratę, crêpe de Chine i surowego jedwabiu.
573. Sukienka z materjału wełnianego beige przybrana granatowem.
574. Płaszczyk z kashy w kolorze wiśniowym. Plisy ciemniejsze, kołnierz futrzany.
575. Sukienka kombinowana z fularu gładkiego i w centki.
576. Sukienka z białej markizety.

Podczas pobytu na letniskach i w miejscach kąpielowych zmuszają upały słoneczne do zdejmowania kapelusza, co działa dodatnio na włosy i nerwy głowy, ale też i wymaga zdwojonych starań o nienaganność fryzury i piękno włosów, które wystawione za długo na działanie silnych promieni słonecznych, płowieją lub rudzieją. Trwała ondulacja, czyli około sześciu miesięcy wytrzymująca bez poprawek, mimo mycia i transpiracji utrzymująca fale w pięknym układzie, jest prawdziwem dobrodziejstwem w tym okresie. Da się ona zastosować do każdej fryzury, a najnowsze maszyny elektryczne mają niższą temperaturę, w które włos się nie łamie, i bezpieczniki, wyłączające możność krótkiego spięcia.

Niedyskrecje słoneczne, chwilowo nieraz nawet bardzo przykre, bywają w rezultacie pomocne w pielęgnowaniu urody, rzucając sygnały ostrzegawcze w krytycznych momentach.

Efeb

KSIĄŻKI KOBIECE WE FRANCJI

NIM przystąpię do omówienia beletrystyki, zajmę się najpierw książką, którą dali pani GAY LOUIS COUSIN i dr E. BESSON: *Comment j'élève mon enfant? (Jak wychowuję moje dziecko?).* — Oprócz przepisów lekarskich i rad niezbędnych, starali się oni zajrzeć w duszę dziecka i nietylko usunąć wszystko co mogłoby szkodzić mu fizycznie, ale przytem rozwijać je powoli i czuwać nad młodą, budzącą się do życia inteligencją. Autorzy, a raczej autorka, gdyż pani Gay jest właściwą autorką tej wybornej książki, zajmują się nietylko dzieckiem, ale i matką. Młoda kobieta znajdzie w tem dziele opowiedziane dokładnie, w sposób naukowo-praktyczny dzieje ciąży, przygotowania konieczne jakich takowa wymaga, rady w jaki sposób należy się zachować podczas połogu i jak pielęgnować w pierwszej chwili matkę i niemowlę. Następnie autorka przestrzega młode matki przed zbytnią i zaślepioną miłością rodziców. Należy od pierwszych dni życia przyzwyczajać dziecko do regularnych godzin pożywiania i spania, jest to jedyny sposób zapewnienia względnego spokoju rodzicom, a zarazem zabezpieczenia zdrowia niemowląt. Książka zawiera ciekawie ilustrowane drobiazgowe informacje, jak należy ubrać niemowlę, jak je spowijać etc. etc. Jest to prawdziwa lekcja naukowa pozwalająca zorjentować się młodej kobiecie w położeniu jej i we wszystkich grożących jej niebezpieczeństwach, tem bardziej, że ładnie wykonane rysunki dopełniają doskonale objaśnień. Po drobiazgowym opisie ciąży i pierwszych dni po niej, autorka mówi o wychowaniu dzieci do lat 7. Te małe istotki muszą być utrzymywane w posłuszeństwie, a jednocześnie powinny być otoczone staranną opieką, żeby czuły dokoła siebie ciepłą atmosferę serdeczności i dobroci. Nie do przesady jednak. Nie powinno się rozczulać nad każdym krzykiem dziecka, ani nad każdym jego kaprysem, aby maleństwo nie przyzwyczajało się do zbytniej swobody i nie nadużywało cierpliwości swego otoczenia. Słowem, autorka idzie za głosem dewizy starożytnych: „Mens sana in corpore sano".

Płody niewieściego pióra są, jak zwykle, dość różne i dość obfite w tym roku. Dwie wielkie panie literatury, hrabina DE NOAILLES i księżna BIBESCU — dodajmy: obie Rumunki — wypowiedziały się w swych książkach *„L'honneur de souffrir"* i *„Catherine-Paris"*. Pierwsza książka była gwałtownym protestem przeciw wieczności i istnym hymnem na cześć śmierci co wszystko kończy, przyczem autorka z przyjemnością zdawała się zagłębiać w jakiejś rozpacznej, a jednak przyjętej dobrowolnie, zagładzie życia i wszystkiego co jest życiem. Ale pani de Noailles ma w sobie za wiele żywotności, aby można było uważać tę księgę rezygnacji za jej credo. Trzeba raczej widzieć w niej jeden z licznych nastrojów poetki, obleczony w szatę rymów i dźwięcznych słów, nastrojów bezwątpienia szczerych i głębokich w chwili tworzenia, lecz nie mogących trwać stale. Co do *„Catherine-Paris"* owa satyra na polską arystokrację jest obecnie zbyt dobrze znana w Polsce, aby trzeba było opowiadać treść zawodów sercowych i życiowych młodej Francuzki rumuńskiego pochodzenia, wydanej za polskiego hrabiego, który ani nie chce, ani nie może jej zrozumieć. Miasto Lwów odgrywa poważną rolę w tej powieści, gdyż zamek polskiego hrabiego — Leopolskiego — znajduje się blisko tego grodu. Powieść jest napisana żywo i dowcipnie, co maskuje drobne jej braki. Złośliwi — a nie brak ich ani we Francji, ani w Rumunji, ani w Honolulu etc. etc. — twierdzą wprawdzie, że księżna Bibescu pragnęła wydać swą córkę, ładną młodziutką księżniczkę, a obecnie księżnę Glika, za pewnego arystokratę polskiego, a gdy ów marjaż się nie udał, napisała swą powieść. Byłby to w takim razie rodzaj zemsty literackiej dosyć ciekawy. W każdym razie literatura zawdzięcza mu ładny romans.

Bardzo ciekawą powieścią jest nagrodzona przez areopag dam nagrodą Femina-Renaissance, książka pani MARIE LE FRANC, autorki o duszy nomada i celta. Ten *„Grand Louis Innocent"*, który puka w burzliwą noc do okna Ewy, literatki, żyjącej samotnie w landach bretońskich, to jakby proste, bezkrytyczne szczęście, co puka do dusz i serc przeintelektualizowanych i przerafinowanych kobiet naszej epoki. A ponieważ „les extrêmes se touchent", Ewa pokocha tego człowieka, zatopionego w swej niewiedzy i w swem bezgranicznem uwielbieniu i umiłowaniu. Edmund Rostand powiedział w „Zamorskiej księżniczce", że każda kobieta marzy o tem, by zostać jeśli nie Dalilą, to chociaż Omfalją. Coś podobnego jest i z Ewą, choć nie chodzi jej wcale o upokorzenie ukochanego. Nie, ona chce tylko, aby był jej wyłączną własnością i aby cały świat jego uczuć i pragnień skoncentrował się w niej. Żądanie zrozumiałe i prawdopodobnie wypowiedziałoby je wiele kobiet, chociaż mało z nich może przyjęłoby logiczne konsekwencje podobnego życzenia z równą odwagą, jak Ewa.

W zupełnie inny świat przenosi nas powieść pani IZABELI SANDY: *„Zrudziałe sutanny"* (jeśli kto woli „pozieleniałe sutanny"). Obecny minister oświaty francuski, p. Edward Herriot, wychowaniec księży, nazwał tem imieniem legjony ubogich księży pracujących gorliwie i wytrwale. Takim jest proboszcz Juljusz Rousègal, proboszcz wiejski, który spełnia swe obowiązki kapłana, a jednocześnie walczy z biedą i nędzą. Izabela Sandy lubi malować twarde życie „na łonie natury", a jednocześnie postacie silne, nieco szorstkie i prymitywne, zdolne do wielkiej miłości i wielkiej nienawiści, ale mające coś ze starego majestatu chłopskich Latynów i chłopów Reymonta.

Pozatem mamy trochę deklamatorski, ale dość ciekawy romans *„Posiadanie"* RAJMUNDY MACHARD, młodej i niezmiernie reklamowanej autorki, żałosną historję biednej Monie w książce MARJI JADE *„Mon amour, où es-tu?"*, powieść ZUZANNY NORMAND na tle życia dzielnicy łacińskiej w Paryżu z obiecującym tytułem *„Cinq femmes sur une galère"*, dość kinematograficzny romans LUCIENNE FAWRE *„L'homme derrière le mur"* etc. etc. W „Człowieku za murem" czytamy historję czterech bandytów, którzy mordują bogatego jubilera w Algierze, aby go ograbić. Trzech zostaje zaaresztowanych, czwarty paryżanin, a więc najzręczniejszy, unika tej katastrofy i chowa się w ogrodzie jakiejś posiadłości gdzie żyje przez kilka tygodni. Angielka, właścicielka tej willi, siostrzenica jej i otoczenie wywierają duży wpływ na umysł mordercy, który wreszcie ucieka aeroplanem, porzuciwszy owoc zbrodni i kradzieży, ale umiera wkrótce, bo pił wodę z zatrutej studni. Powieść pisana z werwą i nie bez talentu, choć nieco zbyt pośpiesznie.

NICOLE STIEBEL, dość znana już autorka, daje tym razem *„Le coeur en peine"*. Właściwie chodzi tu o serce męskie i o serce kobiece. Jacques, syn i wnuk ludzi praktycznych, przemysłowców, jest wieczystym pielgrzymem ideału i niemożebności. To co się stało możebnem, traci niemal swą wartość w jego oczach. Dopóki rodzina zabraniała mu poślubienia młodej ubogiej dziewczyny-artystki, kochał ją namiętnie i myślał tylko o przemożeniu wszystkich przeszkód. Z chwilą gdy ukochana stała się jego żoną, zaczął marzyć o innych celach, bardziej odległych. Zadowoli znowu chwilowo swe marzenia, wyjeżdżając do dalekich krajów wraz z uczonym zbieraczem motyli. Powieść ma trochę za mało akcji, ale obfituje w ładne momenty.

Najboleśniejszą może jest powieść HELENY DU TAILLIS *„Nowa Bovary"*. Młoda dzielna kobieta, straciwszy na wojnie ukochanego męża, żyje z własnej pracy, jako zdolna rysowniczka. Życie jej jest smutne, monotonne, ale spokojne. Niestety, spotyka ona najniespodzianiej na swej drodze pseudo-uczonego, jednego z tych, co wiele się nauczyli, ale nic nie zrozumieli. Profesor jest niemłody, gruby, mało dystyngowany i wogóle niewiadomo dlaczego Sylvette — imię młodej wdowy — poświęca mu wszystko, aby wzamian za to zdobyć jedynie gorzkie rozczarowanie. Sylvette to typ kobiety bezbronnej wobec życia, które ją zaskoczyło źle przygotowaną i rozbrojoną, kobiety dość zmysłowej, ale obdarzonej dużą dozą krytycyzmu. Niestety, ten krytycyzm nie oddaje jej wielkich usług, bo pozwala jedynie konstatować, że postępuje źle, wyrządzając krzywdę samej sobie, ale nie powstrzymuje jej wcale na fatalnej dla niej drodze. Ciekawy to typ kobiety inteligentnej, samodzielnej, a jednocześnie niemal bezwolnej. Ciekawy również typ profesora zabawnego i trochę wstrętnego ex-donżuana niższego rzędu, ale naogół wrażenie jest prawie przygnębiające, gdy się przyjrzeć bliżej tej dość dziwnej parze.

Dr. M. Kasterska


Tonia Kleczkowska

W PARYŻU, 12 maja, w teatrze „Femina" odbył się występ młodej polskiej śpiewaczki, Toni Kleczkowskiej, która odtworzyła szereg charakterystycznych piosnek różnych epok i różnych narodów w tekście oryginalnym i każda w odpowiednio stylizowanym kostjumie. Na program złożyły się pieśni angielskie, sycylijskie, hiszpańskie, francuskie z epoki romantycznej i polskie. Wśród tych ostatnich figurowały trzy pieśni dziecinne Alfreda Gradsztejna do słów Zofji Rogoszówny, oraz utwory Szopskiego i Wieniawskiego. Recital Toni Kleczkowskiej ściągnął bardzo liczną publiczność i zyskał wielkie powodzenie. Prasa francuska z uznaniem odzywa się o artystce. Recenzent „La semaine à Paris" pisze: „Wdzięk uśmiechu, któremu oprzeć się trudno, czułe spojrzenie, głos pieściwy to są atuty w ręku tej młodej uroczej kobiety, które umiała ona w grę wprowadzić. To też podobała się niezmiernie."

LOUISE LLEWELLYN JARECKA rozpowszechnia w Ameryce sławę polskiej pieśni, wykonywając utwory współczesnych, młodych kompozytorów polskich. Nauczyła się tak wymawiać po polsku, że słuchając jej trudno odgadnąć że to cudzoziemka. Na studjach muzycznych w Paryżu poznaje grupę polskich artystów, między innymi Eugenjusza Morawskiego, którego kompozycje wywierają na nią wielkie wrażenie. Wraca do Nowego Yorku i uczy się czas jakiś koloratury u Sembrich-Kochańskiej. Poznaje młodego kompozytora Tadeusza Jareckiego, zaangażowanego do szkoły muzycznej. Pod jego artystycznym wpływem studjuje dalej muzykę polską i uczy się języka polskiego. Kompozytor wyjeżdża na wojnę, służy najpierw w armji polskiej we Francji, potem walczy na froncie bolszewickim. Po powrocie do Ameryki żeni się z Louise Llewellyn, która odtąd zajmuje się propagandą muzyki polskiej w Nowym Świecie, daje koncerty poświęcone wyłącznie naszej twórczości artystycznej.

BRONISŁAWA MONKIEWICZ, kustoszka muzeum im. Adama Mickiewicza w Paryżu, wydała książkę: „*Verlaine —critique littéraire*". Książka, napisana pięknie, dobrze i ładnie, zyska zapewne wdzięczność Francuzów, którym cudzoziemka odkryła tę niezbadaną dotąd stronę działalności wielkiego poety.

NOWA POLSKA USTAWA wojskowa nie przewiduje konieczności uzyskiwania zezwoleń na wstąpienie w związki małżeńskie. Zawarcie małżeństwa przed wstąpieniem do służby nie wymaga żadnych zezwoleń i przeto składanie wszelkich podań w tej sprawie jest zbędne. Nadal zaś pozostaje w mocy przepis, że zawarcie małżeństwa nie daje prawa do odroczenia, ani skrócenia służby, ani też nie uprawnia do żadnych świadczeń ze skarbu państwa na rzecz rodziny poborowego.

NAGRODZONA PŁYWACZKA, miss Olie Hatch w Los Angeles, pozazdrościła Semiramidzie wiszących ogrodów i urządziła na dachu domu swego basen do pływania...

PODCZAS DEBATY nad t. zw. „prawem głosu dla podlotków" rozegrały się w parlamencie angielskim zabawne sceny. Gdy np. jedna z posłanek zapytała: „Czemże w takim razie jest kobieta?" Sir George Cockerill, poseł z Surrey, odpowiedział z punktu: „Jedną z przyjemnych pomyłek Natury". Odpowiedź ta wywołała śmiech w całem audytorjum; jednakże lady Astor założyła energiczny protest.

W SALI DZIEKANATU wydz. lekarskiego Wszechnicy Jagiellońskiej odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów pierwszym absolwentkom uniwersyteckiej szkoły pielęgniarek i higjenistek, założonej przed 2 laty z inicjatywy prof. Rosnera, Rutkowskiego i obecnej dyrektorki szkoły, p. M. Epsteinówny, tudzież przy wydatnej pomocy Fundacji Rockfellera. Po 2-dniowym egzaminie z teorji i praktyki pielęgniarstwa i służby zdrowia, władze uniwersyteckie udzieliły kandydatkom dyplomów. Dziekan Ciechanowski przemówił serdecznie do młodych pionierek wiedzy pielęgniarskiej w Polsce. Delegatka M. S. W. p. Babicka wręczyła im dyplomy ministerjalne, uprawniające do służby państwowej.

NIEZWYKLE WAŻNĄ ROLĘ w Chinach odegrała w wojnie domowej młodziutka Li-Hung-Po. Dzięki swej agitatorskiej działalności na rzecz armji południowej, młoda dziewczyna przyczyniła się do zwycięstwa nad armją Czang-Tso-Lina. Wymogła ona uroczystą przysięgę na wierność ideałom patrjotycznym od wielu tysięcy kobiet. Jak wiadomo, Chiny dalekie są od przodowania w emancypacji kobiet — na sprawę tę jednak rzuca ciekawe światło fakt, że chińska patrjotka, choć należy do arystokracji, otrzymała europejskie wychowanie i wyższe wykształcenie.

SĄD W KANSAS CITY przyznał półtora tysiąca dolarów odszkodowania dziesięcioletniemu Edwinowi Christmansowi, którego rodzice zaskarżyli panią Mary Hickman, nauczycielkę, o odszkodowanie za wymierzoną chłopcu chłostę, kiedy nie umiał rozwiązać zadania arytmetycznego.

W SPRAWIE ROZWODOWEJ miljonera Harolda Fr. Mac Cormicka z artystką filmową Hanną Walską — doszło do kompromisu. Miljoner zgodził się wypłacać p. Walskiej dożywocie w wysokości stu tysięcy dolarów rocznie.

W CHARBINIE daje się mocno odczuwać potrzeba zakładu wychowawczo-kształcącego dla polskiej młodzieży żeńskiej. Istnieje tu gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, nie zdoła ono jednak zaradzić wszystkim potrzebom, nie daje bowiem opieki przez dzień cały i z powodu wymaganej opłaty jest niedostępne dla całego szeregu dzieci. Dobrze tutejsze stosunki znający księża oceniają liczbę takiej dziatwy na 6 do 7 setek. Dzieci te uczęszczają do szkół rosyjskich lub sekciarskich, głównie dlatego, że szkoły te są tańsze albo nawet bezpłatne. Chcąc zaradzić potrzebie, misja katolicka w Charbinie poczęła gromadzić materjały pod budowę zakładu: cegłę, wapno, drzewo itd., i wkrótce zamierza rozpocząć budowę. Wymaga to wszelakoż wielkich zasobów pieniężnych. Datki na ten cel można nadsyłać do franciszkańskiego Związku misyjnego, klasztor OO. Bernardynów, Lwów.

THEA RASCHE, znana lotniczka niemiecka, czyni przygotowania do odbycia lotu z Nowego Yorku do Berlina. W najbliższych dniach aparat będzie całkowicie wyposażony w przyrządy do ustalania położenia samolotu podczas podróży transoceanicznej, w stację radjową nadawczą i odbiorczą itp. Start ma się odbyć w czerwcu, przyczem p. Rasche ma zamiar lądować dwukrotnie, mianowicie w Irlandji i Amsterdamie. Liczy ona, że ukończy cały lot w ciągu 46 godzin.

HOLLYWOOD posiada swą specjalną wielbicielkę i zapaloną kinomankę. Jest nią 85-letnia mrs. William Alff ze stanu Yowa. Od roku 1919 pani Alff nie opuściła ani jednego przedstawienia kinowego w swojem rodzinnem mieście i według własnego obliczenia obejrzała w tym czasie trzy tysiące sto dwadzieścia pięć filmów!

W LONDYNIE ZMARŁ KSIĄŻĘ NEWCASTLE, który był właścicielem słynnego brylantu „Hope" („nadzieja"). Brylant ten posiada osobliwszą historję. Uchodzi za jeden z najcenniejszych klejnotów świata, lecz oddawna ma opinję fatalnego, przynoszącego nieszczęście swym posiadaczom. Należał on swego czasu do nieszczęsnej królowej francuskiej Marji Antoniny. W ciągu XIX stulecia zmieniał bardzo często właścicieli i stale przynosił nieszczęście. Od roku 1919 posiadał go naprzód rosyjski książę Kanitow, którego zamordowali nihiliści, potem dostał się w ręce pewnego greckiego handlarza diamentów, a ten utracił życie wraz z żoną i dziećmi w czasie katastrofy kolejowej. Następnie stał się własnością zdetronizowanego sułtana Abdul-Hamida, a wreszcie przeszedł w posiadanie perskiego jubilera, który zginął w katastrofie okrętowej.


Louise Llewellyn-Jarecka

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

O WYCIECZKACH, JEŹDZIE KONNEJ I POLOWANIU





PANOWIE, nie mogący wyjechać w lecie na dłużej, lubią robić krótkie, kilkudniowe wycieczki do modnych uzdrowisk. Szukają tam, rzecz jasna, nie tyle odpoczynku fizycznego, ile raczej możliwie jak najwięcej rozrywek, które przynoszą wytchnienie umysłom przemęczonym pracą zawodową.

Do tego celu potrzebną jest odpowiednia garderoba. Ale co zabrać ze sobą, tak na wszelki wypadek? Dużo nie warto, a za mało może wprowadzić w kłopotliwe położenie. Zatem tylko to, co jest niezbędne.

Pewien zapas bielizny do ubrań dziennych i wieczorowych, drobiazgi toaletowe stale używane, przyczem o dobrej wodzie kolońskiej nie wolno zapomnieć. Z ubrań: do podróży garnitur z popielatej flaneli, marynarka dwurzędowa; dostosowany miękki kapelusz, bronzowe buciki. Ubranie marynarkowe jednorzędowe, białe spodnie flanelowe, pull-over z rękawami. Na wieczór smoking dwurzędowy i lakierki. Jedno okrycie. Czapka. Ubranie domowe: chałat. Białe spodnie można kombinować z popielatą marynarką lub z pull-overem.

Na bieliznę, ubrania i buciki wystarczy nieduża, lecz pojemna walizka, z jednym przedziałem ruchomym, i torebka podręczna na drobiazgi toaletowe i pyżamę. Futerał na parasol i laskę, który nawet czasem mieści się w walizce, zależnie od jej długości.



Zbliżająca się jesień zwraca naszą myśl ku dwu sportom: myślistwu i jeździe konnej, które wedle ogólnie utartych pojęć należą do wytwornych i szczególnie forytowanych przez sfery ziemiańskie.

Jazda konna, coprawda, mocno się zdemokratyzowała w ostatnich czasach, i każdy pierwszy lepszy mieszczuch może ją z łatwością uprawiać. Jest to tylko kwestja pieniędzy. Nie może natomiast mieć tyle sposobności do różnych odmian ubrań, dostosowanych do okoliczności. Mieszczuch ma bowiem tylko zwykłą przejażdżkę, a mieszkaniec wsi inaczej się ubiera do objazdu gospodarstwa, inaczej na wycieczkę, inaczej do polowania, do gry w polo i t. p.

W jednym z zagranicznych pałaców sportowych urządzona została rewja wszystkich odmian sportowych, kostjumów dla pań i panów, w tem, oczywiście, i do jazdy konnej. Największe uznanie spotkało jeźdźca w ubraniu z gabardyny mysiego koloru; twardy kapelusz dobrany do tonu, bronzowe buty z cholewami dawały doskonałą całość. Było to ubranie do zwykłej przejażdżki: marynarka jędnorzędowa, oczywiście zapięta na dwa guziki, i *breeches*.

Do zawodów w ujeżdżalni zaprezentował pewien ze sportsmanów długi czarny surdut, jasną kamizelkę w kratkę, długie spodnie z materjału w kolorze kamiennym, czarny twardy kapelusz i lakierki.

Jeździec do gry w polo był cały w bieli, prócz butów: biała koszula, białe *breeches*, biały hełm i bronzowe buty z białemi wyłogami.

(Dokończenie na str. 363.)











O MODNEJ STOŁOWEJ BIELIŹNIE

STÓŁ. Na tym stole filc. Na tym filcu obrus. Na obrusie pośrodku podłużna serweta lub okrągłe *milieu*. Przy każdym talerzu duże serwetki. Porcelana możliwie jednolita.

Tak niedawno jeszcze nakryty był wszędzie elegancki stół, tak dziś jeszcze powszechnie stoły nakrywają.

Jadać u stołu bez obrusa było to synonimem niedbalstwa, nieelegancji, albo biedy. „Każdy talerz inny“ — było szczytem nagany dla niestarannej gospodyni.

Ostatnio jednak nastąpił na tem polu przewrót zupełny. Za najwyższy szyk uchodzi dzisiaj: stołu wcale nie nakrywać.

W domach najelegantszych, tych które pierwsze przestrzegają każdej mody, a właściwie nawet modę stwarzają i lansują, obrus należy niemal że do historycznych zabytków. W każdym razie do rzeczy, których się używa nader rzadko, w wyjątkowych tylko okolicznościach. A i wtedy nie wygląda on tak, jak to sobie pewno na wzór i podobieństwo naszych zwyczajnych obrusów wyobrażamy. Przedewszystkiem bowiem odznacza się tem, że stołu nie nakrywa. Jest mianowicie cały zestawiony z różnych spojonych ze sobą koronkowych motywów i haftów, najdelikatniejszych nawet rodzajów, a że leży bezpośrednio na stole, więc oczywista, drzewo obficie przezeń przeziera.

Zazwyczaj jednak obrusa wcale niema. Przez środek stołu ciągnie się podłużna, dość wąska stosunkowo serweta lub leży *milieu* i na nich stoją flaszki z winem i wodą, solniczka, chleb itd. Każdy zaś poszczególny biesiadnik ma przed sobą odpowiednią małą serwetę, na której stoi jego talerz i leży nakrycie. Czyli, że można słusznie powiedzieć, iż się nie nakrywa wprawdzie stołu, ale nakrywa tyle jego części, ile jest uczestników uczty.

Te serwety i serwetki są z koronek, jeśli kto chce i może; z płótna lub batystu — w normalnych stosunkach. Pamiętać też trzeba, że nie stanowią one „garnituru“ w dawnem znaczeniu, to znaczy nie są takie same. Mając tę samą wielkość, powinny jednak mieć różne desenie i kolory, co w praktyce sprowadza się do tego, że są w różne paski lub kratki.

Jeszcze dziwniejsza jest inna, radykalniejsza forma tej nowej mody, która nawet i tych szczątków stołowej bielizny nie uznaje. Przed każdym biesiadnikiem leży dość duża podstawka z plecionki słomianej, na której stoją jego talerze. Obok tej maty leży mała serwetka do ust i nakrycie. Flaszki, półmiski i wogóle reszta nakrycia stoją każde zosobna na swojej podstawce. Te zaś podstawki mogą też być ze słomy, ale bynajmniej nie muszą. Równie dobrze można użyć metalowych, fajansowych, szklanych lub zastosować je do serwisu. Nie znaczy to jednak wcale, żeby miały — co się nazywa — „do serwisu należeć”. Sam serwis zresztą jest już teraz bardzo zreformowany. Zastawa jest tem elegantsza i modniejsza, im bardziej różnorodne jest naczynie. „Każdy talerz inny” jest szczytem dobrego smaku. Oczywiście, że każdy talerz w takim razie musi być piękny, stary, ludowy lub stylowy.

Kto jest bardziej konserwatywny w swych zwyczajach i źle się czuje, gdy stół nie jest nakryty obrusem, może naturalnie, w każdym razie póki ta nowa moda nie jest jeszcze ogólnie przyjęta, bezpiecznie swoim upodobaniom hołdować. Nikt mu nie zarzuci złego smaku, ani nikogo to nie będzie raziło, jeśli stół nakryje.

Obrus — w mieście — do obiadu i kolacji powinien być czysto biały, czyli że kolorowe szlaki są niemodne. Jeśli idzie o elegancki stół, to obrus powinien mieć co najmniej w środku koronkowy motyw i ozdobny ażur przy obrąbku.

Na wsi zaś moda czysto białej stołowej bielizny wcale nie uznaje. Nawet do obiadu i kolacji zabrania ich używać. Najmodniejsza jest na wilegjaturę bielizna z tak zwanego płótna baskijskiego. Jest to biało-żółtawe, szarawe lub nawet całkiem szare płótno, którego najcharakterystyczniejszą cechą są jego wzory.

Płótno to mianowicie, wyrabiane zresztą w różnych grubościach i wedle różnych tkackich systemów, ma zawsze kolorowy, zupełnie typowy deseń. Kolory te — to ciemny granat, prócz tego czerwony, żółty i zielony kolor. Wszystkie bardzo intensywne. Nadto popielaty. Desenie zaś — to albo kraty lub kratki; wielkości bywają rozmaite, albo pasy, które są o tyle ciekawe, że nie ciągną się przez cały obrus, ale występują dwiema grupami po trzy. Każda z tych grup mieści się o jaką ćwierć całej szerokości od brzegu, tak że obrus podzielony jest na trzy pola, z których środkowe jest najszersze. Oba boki, gdzie się pasy kończą, mają grube frendzle.

Obrusy te są dzięki doborowi tonów i proporcji wzorów rzeczywiście przepiękne, a wobec tego że się świetnie piorą i że ich kolory nie puszczają, ani nie tracą na intensywności, są też i ogromnie praktyczne. Można zatem obecnej modzie, która te wyroby forytuje i poleca, wróżyć długie trwanie.

Wyrabianie u nas w kraju podobnego chłopskiego płótna byłoby więc bardzo polecenia godne. Zwłaszcza, że używa się go też i na portjery, co w jadalni lub dziecinnym pokoju bardzo pięknie wygląda. Byłby to najlepszy i najrozsądniejszy sposób stosowania się do mody baskijskich obrusów, wartej rozpowszechnienia, jak mało która.

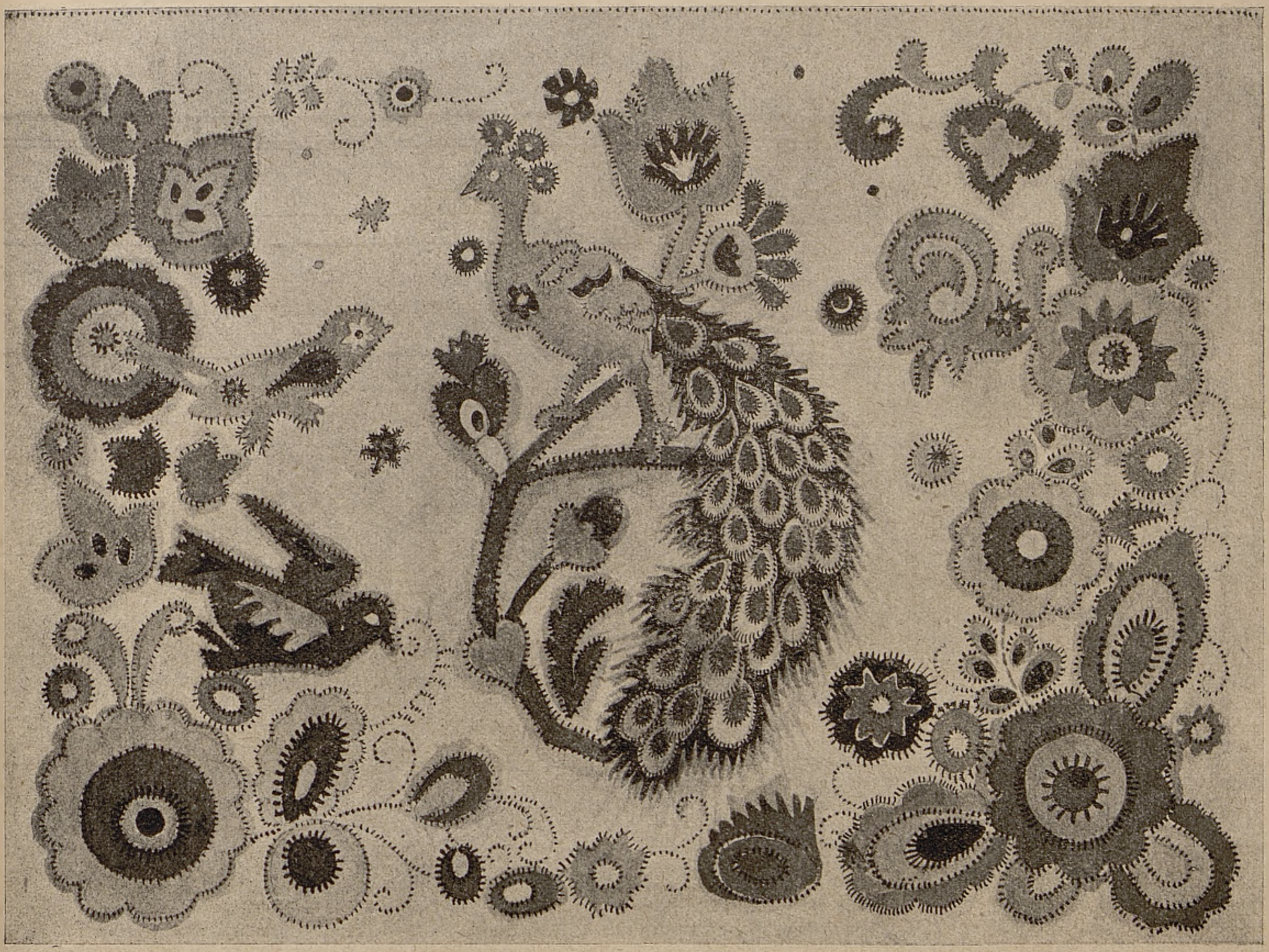
Do herbaty nakrywa się stół tylko wtedy, jeśli ilość proszonych osób jest mała. Modne są w tym przypadku obrusy z prawdziwego płótna lub batystu. Tylko kolorowe. Kolor różowy, niebieski i żółte przeważają. Takie obrusy są jeszcze ponadto kolorowo zdobione. Najmodniejsze są te, które w niezbyt wielkim odstępie od ażurowanego obrąbka mają krzyżowym ściegiem haftowany pstry szlak. Bardzo lubiane są też aplikacje, płaski haft, wszelkiego rodzaju ozdobne ściegi, nawet cerowanki i mereżkowe wzory. Desenie mieszczą się pośrodku i w takim razie też i w rogach, albo naokoło jako szlak. Serwetki są całkiem podobne.

Eleganciej jest jednak wedle tegorocznych pojęć, zamiast obrusa, choćby nawet i najmodniejszego, położyć przez środek stołu podłużną serwetę, albo lepiej jeszcze kwadratowe *milieu*, nie równolegle do boków stołu, ale naukos. Serweteczki, które każdy pijący dostaje, są minimalnej wielkości. Batystowe albo i piękne papierowe.

Na wielkich przyjęciach obowiązuje system bufetowy. Znaczy to, że się herbaty teraz wcale nie podaje i nie pije przy dużym familijnym stole, ani też, jak to przez jakiś czas było modne, przy małych stolikach, rozbijając w ten sposób na małe grupki towarzystwo. Zamiast tego urządza się ogólny bufet.

Może nim być naturalnie każdy normalny stół, byle był odpowiednio ustawiony i urządzony. Przykrywa się go serwetą możliwie ozdobną, koronkową, haftowaną lub baskijskim obrusem, ustawia na nim wszystkie talerzyki, talerze, flaszki, szklanki itp., kładzie łyżeczki, nożyki, widelczyki, małe serweteczki. Stąd każdy bierze sobie co i kiedy chce. Filiżanki, jak też i cała zastawa, wedle wymogów tego co się obecnie szykiem nazywa, powinny być możliwie różnorodne.

Bardzo praktyczną nowością są papierowe obrusy. Używa się ich głównie dla dzieci i trzeba przyznać, że ten higjeniczny zwyczaj nakrywania dziecinnych stołów jest godny naśladowania. Uwalniając dzieci od strachu, by nie poplamiły obrusa, przyczynia się do podniesienia apetytu, w powszednie dnie, a nadto zwiększa urok dziecinnych balików. To też pochwali ją pewnie każdy, najzażartszy nawet przeciwnik obecnej nowej mody. A jest ich — nawiasem mówiąc — sporo. *Mewa* (Paryż)

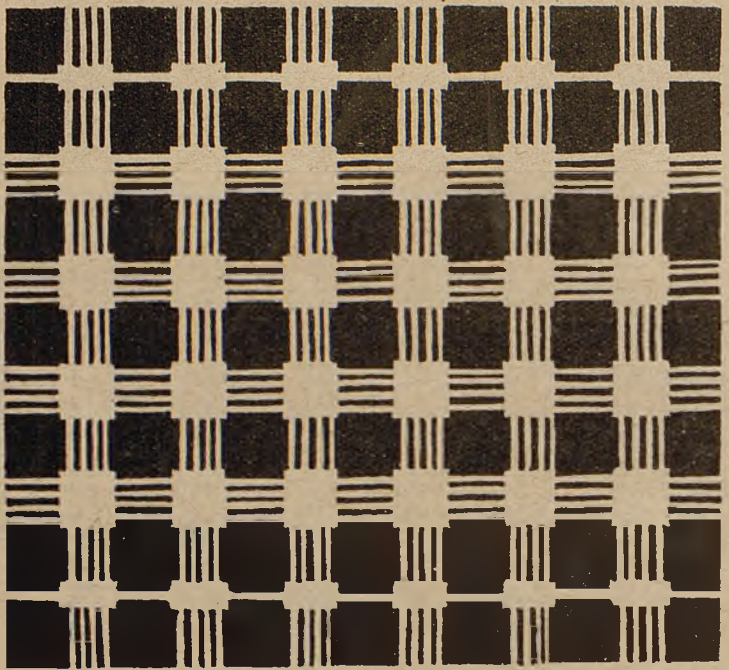


Rys. 131. MAKATKA. — Aplikacja: sukno. Tło: kremowe. Kolory: czarny, zielony, pawi, niebieski, żółty, pomarańczowy. Wielkość 100 *cm* × 75 *cm*, u dołu mogą być frendzle długości 25 *cm*, koloru tła. Wzór oparty na motywie ludowym. — *Proj. J. Skalecka.*

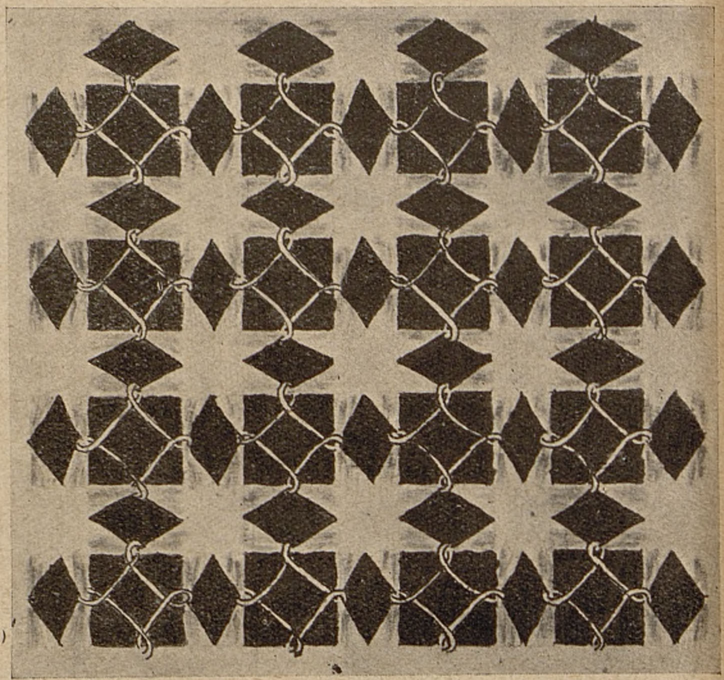


Rys. 132. ŚCIEŻKA NA STÓŁ. — Płótno białe, ścieg Madeira; wymiary 100 *cm* × 42 *cm*. — *Proj. J. Skalecka.*

Rys. 133. SERWETKA (których może być 6 lub 12). — Tym samym ściegiem co ścieżka na stół. Razem z nią tworzy garnitur, który bardzo przyczynia się do upiększenia stołu. — *Proj. J. Skalecka.*



I.



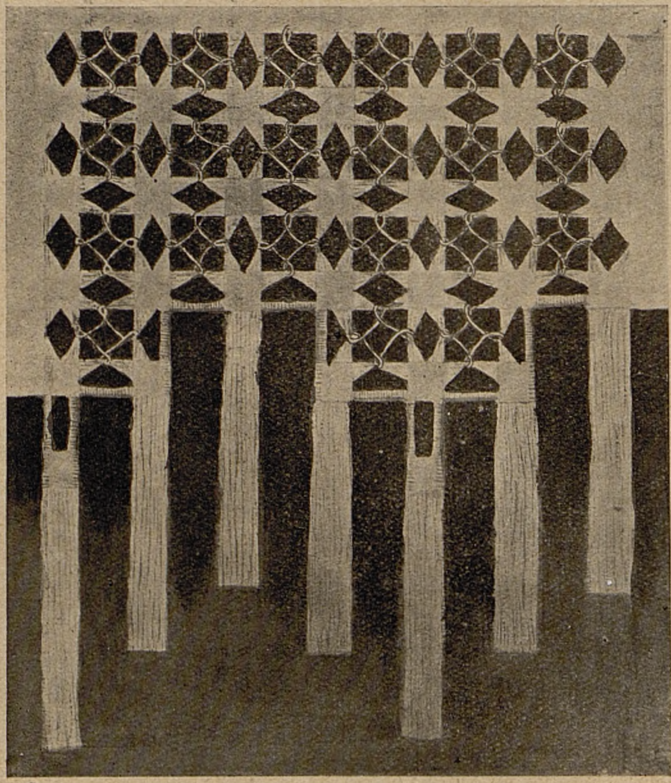
II.

Podane wzory mereżek nadają się przeważnie do roboty na grubem płótnie, gdyż na cienkim batyście, czy jedwabiu, byłyby zbyt żmudne, a co najważniejsze, przy większej robocie bardzo męczące dla oczu.

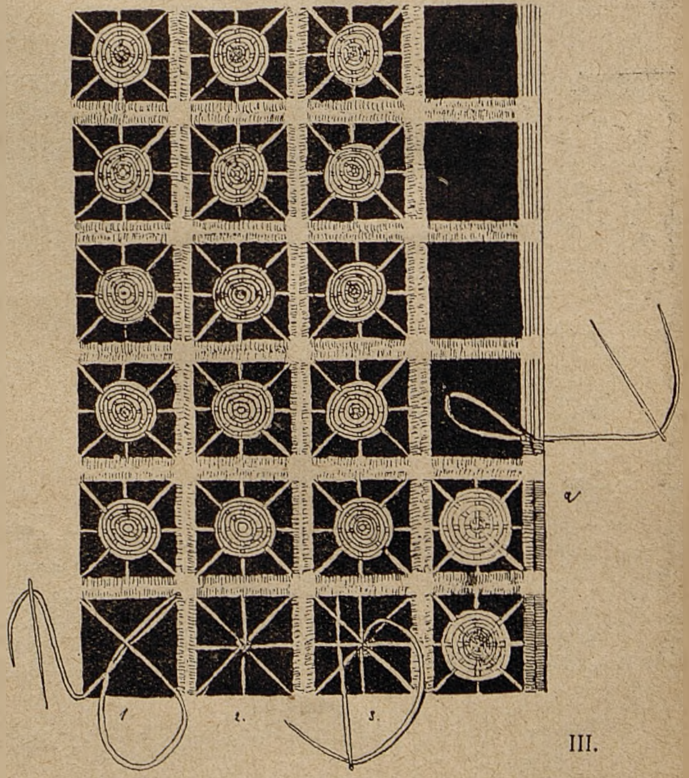
Mereżkę I, II, III, IV nietylko można zastosować jako wstawkę, ale również zamiast motywów koronkowych do haftu angielskiego lub białego. Dają bardzo efektowną całość. IV robiona na batyście 70 D. M. C. zastępuje doskonale toledo, a jest prędsza i łatwiejsza.

Z wąskich wzorów mereżki na cienki materjał można zastosować VI, IX, XII. I robi się jak zwykłą mereżkę, tylko nitki łączące prostokąty płótna okręca się jak przy angielskim hafcie. II i II a. koronka i wstawka. Po wyciągnięciu mereżki w każdym pustym kwadracie chwyta się bawełną połowę z otaczających kwadrat nitek w pętelkę (tak jak na rysunku). Po skończeniu kwadratu przeprowadza się bawełnę po lewej stronie roboty, lekko zaczepiając o nitkę płótna, żeby bawełna nie wysunęła się do następnego.

Przy koronce boczne brzegi kwadracików, od których spada frendzla, obdzierguje się, nitki pozostałe z przewleczenia kwadratów zarabia się ściśle jak pręciki przy angielskim hafcie. III mereżkę wyciąga się w kwadraty mniej więcej 2 *cm* wielkości; nitek, oddzielających jeden kwadrat od drugiego, musi być do pary, a więc 8—10, zależnie od grubości płótna i wielkości kwadratów. Tak wyciągniętą mereżkę obrabia się bawełną tej samej grubości co płótno w ten sposób, że np. 4 nitki okręca się naprzemian, rys. *a*, tak, żeby bawełna krzyżowała się pośrodku. Kiedy już okręcanie skończone, przystępujemy do robienia pajęczyn w pustych kwadratach. Jak na rysunku wskazane 1, 2, robi się naprzód osnowę, którą związawszy mocno w środku, zaczyna się zarabiać ściegiem cerowanym rys. 3. Doszedłszy do 8-ej osnowy, okręcamy bawełnę na



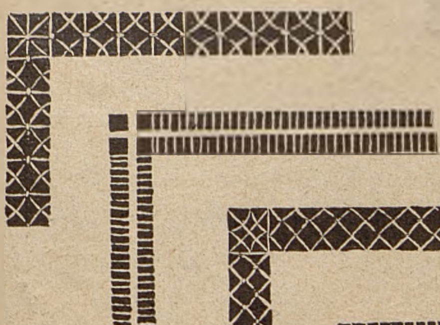
II a.

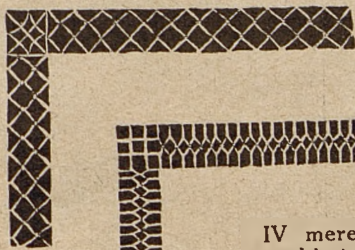


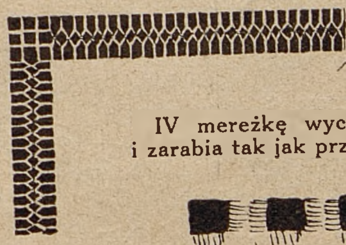
III.

niej, a to dlatego, żeby nitki osnowy naprzemian były zakrywane.

Mereżkę tę można zrobić np. na szarem płótnie *coton perlé* Nr. 8 w tym samym kolorze co płótno, a pajęczynę bronzową lub ciemno-zieloną.



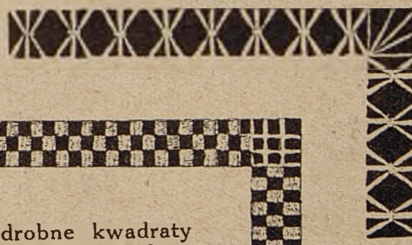


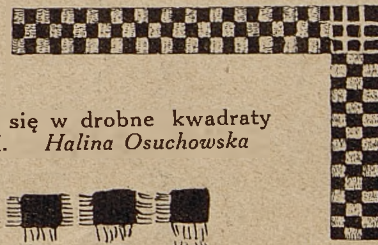


V. VI. VII. VIII.



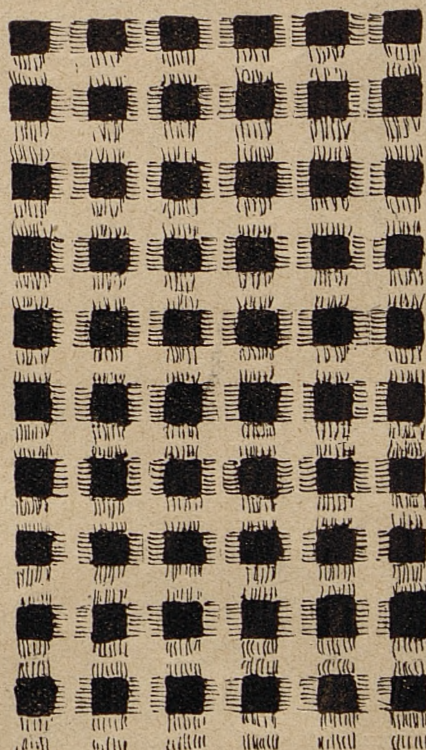






XII. XI. X. IX.

IV mereżkę wyciąga się w drobne kwadraty i zarabia tak jak przy III. *Halina Osuchowska*



IV.

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Dokończenie art. ze str. 359

Jeźdźcy wyścigowi, do jazdy „panów", mieli czerwone lub zielone fraki, białe *breeches*, wysokie buty obłożone w górze cielistą skórą i czarne cylindry.

Strój myśliwego do jazdy *par force* przedstawiał się następująco: długi, czerwony surdut jednorzędowy, odcinany w pasie, zapięty na cztery guziki, białe *breeches*, czarna dżokejka.

Na tem tle, jazda konna nie robiła zapewne wrażenia sportu zbyt demokratycznego.

*

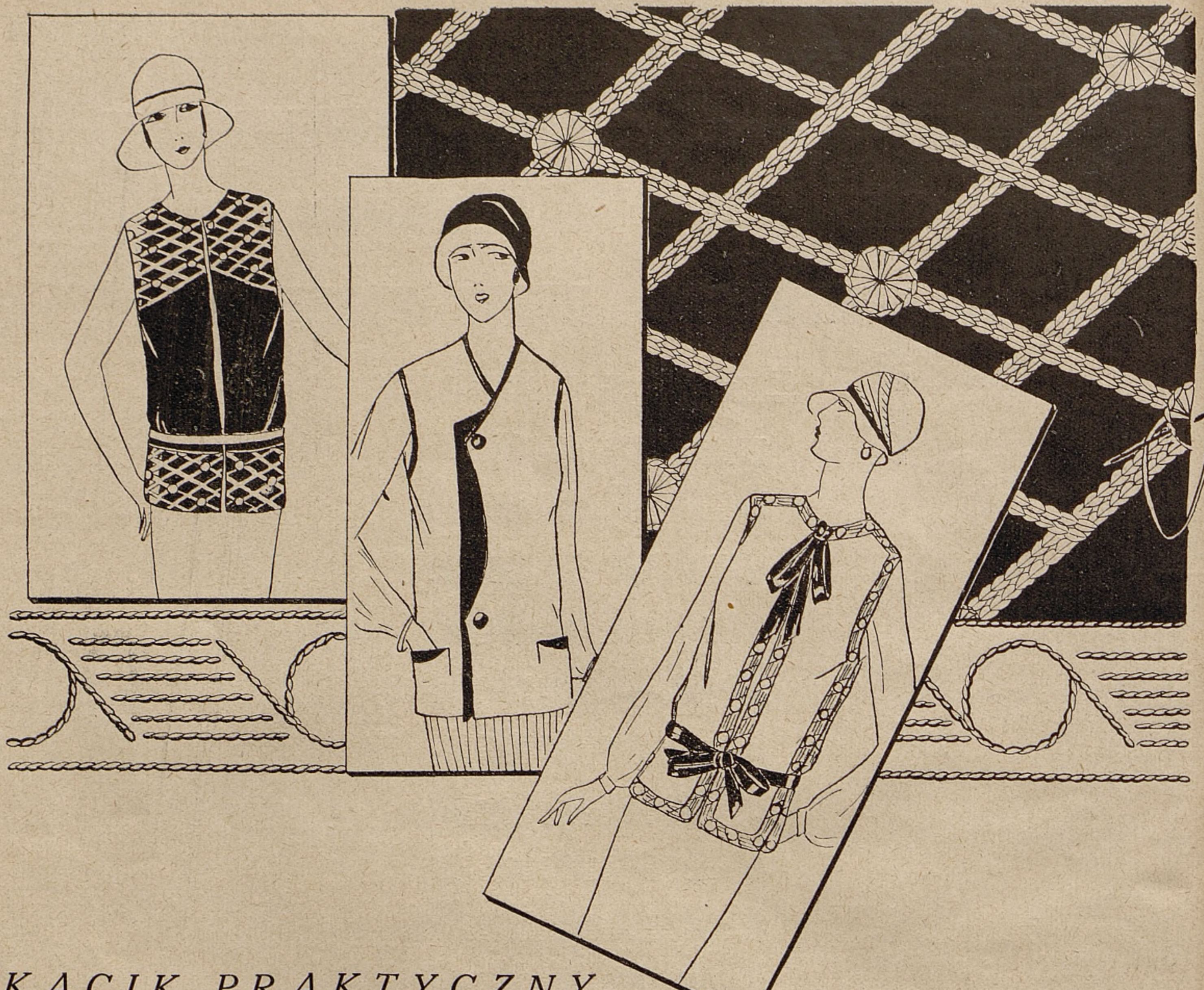
Zwrot ku staranności w modzie męskiej, który zaznaczył się tak sympatycznie u mężczyzn wszystkich warstw, zawodów i każdego wieku, zmienił również poglądy myśliwych na ich strój.

Myśliwy z przed lat, nie tak odległych jeszcze, uważał strój zaniedbany za punkt honoru — myśliwskiego. Chciał się tem odróżnić od t. zw. „niedzielnego" myśliwego, także przygodnego strzelca z miasta, może troszkę snoba, na którym wprawdzie ubranie i przybory jak z igły, ale za to torba stale pusta, a jeśli przypadkiem wypełniona, to chyba kupną zwierzyną, a nie ustrzeloną własnoręcznie. Tak więc tem, czem jest dla antyków szacowna patyna starości, tem dla prawdziwego myśliwego było podniszczone, wyświechtane ubranie, jako znak widomy zmagania się ze zwierzem.

Troszkę inaczej przedstawia się sprawa dzisiaj; nawet prawdziwi strzelcy, stare wygi myśliwskie, dbają o staranny wygląd.

Kolor materjałów pozostał niezmiennie zielony; mamy zatem i nadal wszystkie jego odmiany od najciemniejszej zieleni flaszkowej, do najjaśniejszego zielonawo-popielatego. Ze względów praktyczno-technicznych rzecz zrozumiała: myśliwy musi wsiąkać w tło krajobrazu. Ubranie myśliwego wymaga materjałów mocnych a niezbyt twardych, przeważa nietylko loden, ale i szewioty, oraz korty. Kapelusz miękki, również zielony; buciki wysokie, sznurowane, bardzo mocne, z podwójną podeszwą, wytrzymałe na wszystkie trudy i różne rodzaje terenu. Dobrane do tonu czysto wełniane pończochy, albo opaski. Czasem przenoszą myśliwi buty z cholewami.

Spodnie krótkie, bluza wysoko zapięta na trzy guziki, jednorzędowa. Najwięcej ulubiony jest fason „Norfolk", który bywa czasem wgórze odcinany i wtedy jest z paskiem, a jeśli krój równy, wówczas jedynie dragonik przytrzymuje fałd na plecach. *Gentleman*



KĄCIK PRAKTYCZNY

KAMIZELKI WYSOKO ZAPIĘTE

Właściwie niesłusznie zarzucamy modzie kapryśność i zmienność. Czasami umie być stałą, szczególnie gdy chodzi o rzeczy naprawdę praktyczne. Gdy się zastanowimy, spostrzeżemy, że niektóre rzeczy możemy nosić nawet po 3 lata, a to już wiele znaczy!

Od kilku lat wiernie nam towarzyszy kamizelka tak bardzo praktyczna i miła. Stanowi wdzięczne uzupełnienie garderoby, stosownie do potrzeby rozwesela toaletę albo czyni ją poważniejszą, a zawsze jest wdzięczna i zgrabna. Przytem ma tę zaletę, że można ją stworzyć z różnych zbędnych kawałków materji albo z wysłużonych części garderoby. Potrzebne sztukowania ukrywamy pod zręcznie zastosowanym haftem, a małe kawałki połączymy ozdobnym ściegiem, albo szydełkiem.

Zazwyczaj kamizelki są dość głęboko wycięte i grzeją właściwie tylko plecy i biodra. Na to skarżą się osoby łatwo ziębnące. Dlatego podajemy dziś modele wysoko zapięte, tem bardziej, że zbliża się chłodniejsza pora.

Kamizelka 1 z aksamitu, albo duvetine'y, ozdobiona łatwym haftem łańcuszkowym i dzierganym. Model dozwala różne kombinacje, i tak jasny haft na ciemnem tle, albo naodwrót. Można go wykonać włóczką, jedwabiem, albo nitką metaliczną. Paseczek koloru haftu przytrzymuje kamizelkę na biodrach.

Drugi model przedstawia zestawienie dwóch kolorów sukna. Z kamizelką koresponduje kapelusik. Tu również można przybrać kolor jaśniejszy ciemniejszym, albo odwrotnie. Model ten wysmukla i nadaje się dobrze dla osób tęższych. Brzegi kamizelki lamuje się odmiennego koloru materjałem i takim samym podkłada się przedni brzeg i wycięcie kieszonek. Dolny brzeg kamizelki zakłada się nielamowany.

Trzecia kamizelka wykonana z podatnego materjału. Części otoczone wzdłuż wszystkich brzegów łatwym haftem gałązkowym, w kolorze silnie odbijającym od tła. Wstążka koloru haftu służy jako pasek i wiązanie u góry. Najlepiej wygląda aksamitka. Model ten nadaje się równie dobrze dla szczupłych jak i dla tęgich, dla młodziutkich jak i dla starszych, zależnie od kolorów tła i haftu.

Kamizelki sprzedawane w magazynach są zwykle bardzo lekkie i służą raczej do ozdoby jak do ogrzania. Radzimy kamizelki podszyć podszewką harmonizującą kolorem do przybrania, albo haftu. Jeśli materjał jest bardzo lekki, nie zaszkodzi nawet warstwa cienkiej wataliny, bo jak wspomnieliśmy na wstępie, myślimy tu głównie o osobach łatwo ziębnących.

Duvetine'ę i grubsze materjały wełniane można pozostawić niepodszyte. Wystarczy szwy zalamować cieniutką podszewką, a brzegi założone wykończyć listewką.

Dostarczamy krojów na wszystkie kamizelki. Wzór haftu naturalnej wielkości podajemy powyżej.

Kamizelki trykotowe wyciągają się łatwo i tracą pierwotny fason. Prawdopodobnie przyczyniło się to — obok innych powodów — do faworyzowania kamizelek z materji. Trykotowe kamizelki można ustrzec przed wyciąganiem się przez podszycie lekką podszewką. Najbardziej psuje formę trykotaży nieumiejętne pranie i niezręczne suszenie. Zdeformowane kamizelki można poprawić przez przerobienie podane w niniejszej części kursu trykotarstwa, jeśli zniekształcenie jest bardzo znaczne, albo przez zamoczenie w ciepłej wodzie i wysuszenie podług formy, między suchemi prześcieradłami. Przy przeprasowaniu postępować ostrożnie, nie posuwać żelazka, tylko zgóry lekko przyciskać i nie przytrzymywać długo.

Kamizelki trykotowe lepiej kupować bardzo przylegające, jak zbyt luźne, gdyż w noszeniu zawsze się wyciągną.

Zina Kulczycka

DOBRA GOSPODYNI



CHŁODNIK Z MORELI. Ugotować 5 dojrzałych moreli w wodzie z cukrem, przetrzeć przez sito, dodać wody i cukru do smaku i szklankę białego wina. Obrać 5 pięknych moreli ze skórki, przepołowić, wyjąć pestki, następnie pokrajać w plasterki i posypać miałkim cukrem. Ze wszystkich pestek wyłuskać zawartość, sparzyć, ściągnąć błonkę, pokrajać i ugotować we wodzie z cukrem. Odwar przecedzić i dolać do przefasowanych moreli. Surowe pokrajane jak wyżej morele ułożyć w wazie, zalać chłodnikiem dobrze ostudzonym i podać z makaronikami.

KALAFJOR ZE SOSEM POMIDOROWYM. Ugotować kalafjor zwykłym sposobem, odcedzić i posypać szczyptą białego pieprzu. Położyć na ogrzany półmisek, polać gęstym sosem pomidorowym. Zrumienić tartą bułeczkę na maśle i polać nią kalafjor, pokropić sokiem cytrynowym i 2 łyżkami tartego sera szwajcarskiego. Zapiec przez 5 minut w rurze i prędko podać.

O WITAMINACH. Wciąż rosnące zainteresowanie witaminami skłania nas do podawania w krótkości najniezbędniejszych wiadomości o nich i do wskazania, w których pokarmach zawarte są poszczególne grupy. Jak wiadomo, znamy 5 grup witamin.

Grupa A jest koniecznie potrzebna do wzrostu tkanek, do budowy kości i do wydzielin gruczołów tłuszczowych. Brak witamin A osłabia odporność przeciw chorobom. Najwięcej tej grupy zawierają następujące pokarmy: szpinak surowy, gotowany i suszony, jarmuż, kapusta biała i czerwona surowa i gotowana, marchew surowa i gotowana, sałata głowiasta, pomidory surowe i gotowane, kalarepa. Dalej mleko surowe i prędko sprażone, niezbierane. Długo gotowane traci witaminy. Śmietanka słodka, kwaśna, tłusty ser, masło świeże nietopione, jaje całe albo żółtko. Z mięsiw wątroba, nerki, mózg.

W małej ale niedostatecznej ilości dla utrzymania zdrowia zawierają witaminy A następujące pokarmy: ryż, kukurudza, krupy, żyto, pszenica, jęczmień, wszystko w całych ziarnach albo mące niepytlowanej, oraz w chlebie niepytlowanym; kartofle, kalafjor, zielony groszek i zielona albo szparagowa fasolka, biała fasola niezbyt stara, jabłka, pomarańcze, słodkie migdały, orzechy kokosowe i amerykańskie. Ze zwierzęcych: chude mięso, serce, świeże zamrożone mięso, tłusta ryba, łój wołowy i barani i ich przetwory, chudy ser.

Witaminy A znajdują się więc przedewszystkiem w większych ilościach w zielonych jarzynach i silnie zabarwionych owocach i jagodach. Z jarzyn marchew, obok szpinaku, ma największą wartość spożywczą w uwzględnieniu witamin, bo zawiera w stanie surowym i w soku wszystkie witaminy w wielkiej ilości. To też nie trzeba bronić dzieciom spożywania surowej marchwi, do której czują zazwyczaj wielki pociąg. Gotowanie i nawet sterylizowanie nie zmniejsza znacznie zawartości witamin A w jarzynach i zwierzęcych pokarmach, oczywiście przy niezbyt długiem gotowaniu.

PLACEK Z CZEREŚNIAMI. Utrzeć 21 dkg masła z 6 żółtkami i 1 jajem. Żółtka dodawać stopniowo z 1 łyżką bardzo miałkiego cukru. Dodać 6 dkg mielonych migdałów, trochę skórki cytrynowej i 20 dkg mąki. Wyłożyć tą masą blachę masłem wysmarowaną tak, żeby był naokoło brzeżek, posypać czereśniami albo wiśniami i upiec. Gdy gotowy, posypać cukrem.

BRZOSKWINIE. Wcześnie dojrzewające brzoskwinie nie nadają się tak dobrze na konserwy jak późniejsze. Jak wiadomo, pestka wcześniejszych gatunków nie oddziela się od miąższa. Zagraniczne brzoskwinie, wysyłane w stanie napół tylko dojrzałym, nie są tak dobre jak nasze krajowe. Przy zrywaniu brzoskwiń należy przestrzegać pewnych ostrożności. Nie rwać ani mokrych ani słonecznym żarem rozpalonych. Do jedzenia przeznaczone owoce najlepiej rwać na kilka dni przed dojrzeniem i ułożyć jedną warstwą w chłodnem miejscu. Rwać ostrożnie, żeby nie zgnieść palcami, a więc objąć owoc całą dłonią i ostrożnie skręcić ogonek. Ponieważ owoce jednego drzewa nie dojrzewają równocześnie, nie można wszystkich naraz zrywać. Nigdy nie powinno się brzoskwiń układać kilku warstwami w koszach albo paczkach do wysyłki, tylko używać płaskich koszów albo paczek.

Do sterylizowania przeznaczone brzoskwinie, bez wad i zgnieceń, zalać gorącą wodą i zaraz wyjąć na durszlak albo sito. Po ściągnięciu skórki wczesne brzoskwinie, nie oddzielające się od pestek, pokrajać w duże kawałki i ułożyć ciasno w słoju, zalać przegotowaną i ostudzoną wodą z cukrem ($^1/_2$ *kg* na 1 *l* wody) i sterylizować w zamkniętych słojach przez 20 min. przy 80^0 C. Późniejsze brzoskwinie tak samo sparzyć, zdjąć skórkę, przepołowić, wyjąć pestki, ułożyć połówki przekrojem wdół warstwami do słojów i dokończyć jak wyżej.

Prasujcie na gazie
Urządzenia wykonuje Zakład Gazowy Miejski we Lwowie na spłaty ratalne. Tel. 492.
688

GALARETKA Z CZARNYCH PORZECZEK ma posiadać właściwości lecznicze w chorobach gardła i przy zaziębieniu. Przytem odznacza się znakomitym smakiem. Przy zaziębieniu rozpuścić 1 łyżeczkę galaretki w 1 szklance gorącej wody. Marmelada, likier i wino z czarnych porzeczek są bardzo dobre.



Pływanie – sportem dla kobiet.

Niemal żaden inny sport nie przyczynia się w tym stopniu do osiągnięcia piękności kobiecej, co pływanie. Dobre pływaczki posiadają zawsze piękną figurę, a jeśli są odpowiednio ostrożne — także i piękną skórę. Należy być bardzo ostrożną, aby uchronić skórę przed złym wpływem wody i słońca. Kremy Elida stanowią najidealniejszą ochronę skóry.

Przed kąpielą i wieczorem przed udaniem się na spoczynek — *Elida Coldcream.* Po kąpieli i o każdej porze dnia, na słońcu i ostrem powietrzu — *Krem Elida Co Godzinę.*

KREMY ELIDA

TOWAROZNAWSTWO

OBUWIE. — Omawiając tę ważną część garderoby, musimy podać kilka najpotrzebniejszych wiadomości o właściwościach skóry.

Skórę starszych wołów i krów wyprawia się głównie na podeszwy, młodych wołów i krów oraz koni — na skóry juchtowe i hamburskie; skórę cieląt — na mocne obuwie sportowe i inne, kóz — na t. zw. giemzowe, kozłowe, chevraux, sak, safjan, chrom; baranów — na imitacje poprzednich i zamszowych; saren i jeleni — na zamszowe, a ostatnio także używano skóry wężów i jaszczurek na obuwie. Antylopy i gazele także dostarczają materjału na obuwie, ale prawdziwe są tak niezmiernie drogie, że rzadko kto może sobie na nie pozwolić, zatem zadowalamy się imitacjami.

Jakość skóry zależy od wielu czynników. Tak więc skóra bydła rogatego mocniejsza jest od skóry końskiej; skóra zwierząt chowanych na północy silniejsza i grubsza od skóry zwierząt krajów gorących. Skóra samców jest grubsza od skóry samic, jałówek mocniejsza od skóry krów. Starsze zwierzęta mają mocniejszą i grubszą skórę od młodych, zaś skóra zwierząt chorych i padliny jest licha i słaba.

Sposób wyprawiania i garbowania skór w wysokim stopniu wpływa na ich trwałość.



Po odnowieniu Sfinksa

— „Czemu ten Sfinks taki gładki bez plam?"
— „Wygląda, jakby używał kremu"
LESCHNITZER'A
tego znakomitego środka
PRZECIW PIEGOM

W aptekach i drogerjach krem 3·15, mydło 2·30.
Gdzie niema, wprost u firmy Aptekarz Drancz i S-ka, Bielsko. 804

BECHSTEIN

Pianina BECHSTEINA
i nasze doskonałe ARNOLDA FIBIGERA
z gwarancją polecamy
KAIM i SYN, Lwów, Kopernika 16
Tel. 20-45.
Warunki i ceny do dyspozycji.
689



przejawia się nietylko w ubraniu, ale także w wyborze perfum
Używać stale należy jedynie wody kolońskiej, perfum i mydeł
Iste
STEMPNIEWICZA
Dyskretny zapach nadaje prawdziwego uroku eleganckiemu ubiorowi!
195

Okres garbowania powinien trwać 3—6 miesięcy. Im dłużej trwa garbowanie, tem trwalsza i równiej garbowana będzie skóra. Oczywiście, im cieńsza skóra, tem krócej trwa proces garbowania.

Grubsze skóry garbuje się zapomocą kwasów garbnikowych roślinnych. Czynią one skórę spoistą ale elastyczną i niełamliwą, przytem odporną na wilgoć. Skóra wysuszona i niegarbowana łamie się i jest twarda

Cieńsze skóry poddaje się często działaniu ałunu chromowego, albo dwuchromianu potasu. Przekrój takiej skóry jest jasno-zielony, natomiast skóry garbowanej kwasem garbnikowym— bronzowy. Na podeszwy nadaje się ostatnia lepiej jako odporniejsza na przemoczenie.

Po wygarbowaniu skóry suszy się ją powoli, a następnie farbuje barwikami anilinowemi albo kampeszem. Przez prasowanie specjalnym przyrządem nadaje się skórze gładkość i połysk. Wyciskanie wzorów, kratek, pasków itp. jest bardzo w użyciu.

Skórę lakierowaną wyprawia się, a po ufarbowaniu powleka lakierem.

Wierzchnia strona skóry ma drobne otwory, t. j. pory potowe. Z grubych skór do niektórych celów oddziela się tę górną warstwę skóry i używa na cholewki albo inne cenniejsze przedmioty skórzane. Warstwa ta jest najgęściejsza, zatem najtrwalsza i posiada naturalną gładkość. Środkowa warstwa skóry jest mniej gęsta, zatem mniej trwała, wewnętrzna zaś rzadka i nietrwała.

Przy zakupnie obuwia trudno poznać, z jakiej skóry zrobiona podeszwa, gdyż powłoka woskowa pokrywa wszelkie wady. Jednakowoż kupując skórę do podzelowania powinno się uważać, czy skóra ma pory i jest gładka, a więc nie podzielona. Skórę, z której oddzielono wierzchnią warstwę, nazywamy szpaltową.

Często dzielą skórę na kilka warstw, prasują, farbują i wyciskają sztucznie pory, oraz nadają połysk. Skóra taka ściera się szybko. Używa się jej na wyrób lichych teczek, torebek, pasków i t. p.

Dla osób, które kupują skórę i dają do szewca robić obuwie, podajemy kilka uwag co do wad skóry, dających się łatwo zauważyć nawet dla laików.

Przy wyprawianiu surowych skór zdarzają się często z a c i ę c i a wewnętrznej strony. Garbarze umieją zacięcia te zręcznie zamaskować odpowiedniem ścinaniem skóry w tem miejscu. Zabieg ten osłabia skórę, dlatego przy zakupnie należy palcami wyczuć, czy nie natrafi się na cieńsze miejsca.

M a t o w e miejsca powstają przez brak wierzchniego naskórka, co stanowi znaczną wadę.

(C. d. n.)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Warszawianka. —O przyciemnianiu brwi i rzęsów pisaliśmy niejednokrotnie. Wszelkie ołówki są zdradliwe i nietrwałe, a przytem widoczne. Natomiast istnieje środek japoński w płynie, który ślicznie barwi na przeciąg 6 tygodni. Nie puszcza przy myciu, a sam zabieg jest tak nieskomplikowany, że można go wykonywać w domu. Zastępstwo na Polskę ma firma A. Prevendar, Lwów, pl. Bernardyński, salon fryzjerski.

Gotujcie na gazie

Urządzenia wykonuje Zakład Gazowy Miejski we Lwowie na spłaty ratalne. Tel. 492.

688

Irenka W. — 1. Suknie tennisowe są w tym roku bez rękawów; obwód spódniczki, podany przez Panią, jest za skąpy. Przy grze trzeba mieć zupełną swobodę ruchów. — 2. Do przeróbki z dwóch niemodnych sukienek, gładkiej i wzorzystej, nadaje się idealnie model 533 w nrze 14 Świata Kobiecego. Dla Szan. Matki Pani polecamy model 521 w tym samym numerze. Krojów dostarczamy na zamówienie.

Instytut Kosmetyczny A. PREVENDAR
Lwów, pl. Bernardyński 5 (Hotel Warszawski)

Wykonuje: Trwałą ondulację elektryczną na pół roku. Wodną ondulację. Farbowanie brwi i rzęs na stałe. Wyłączna specjalność farbowania włosów na wszystkie kolory z gwarancją.

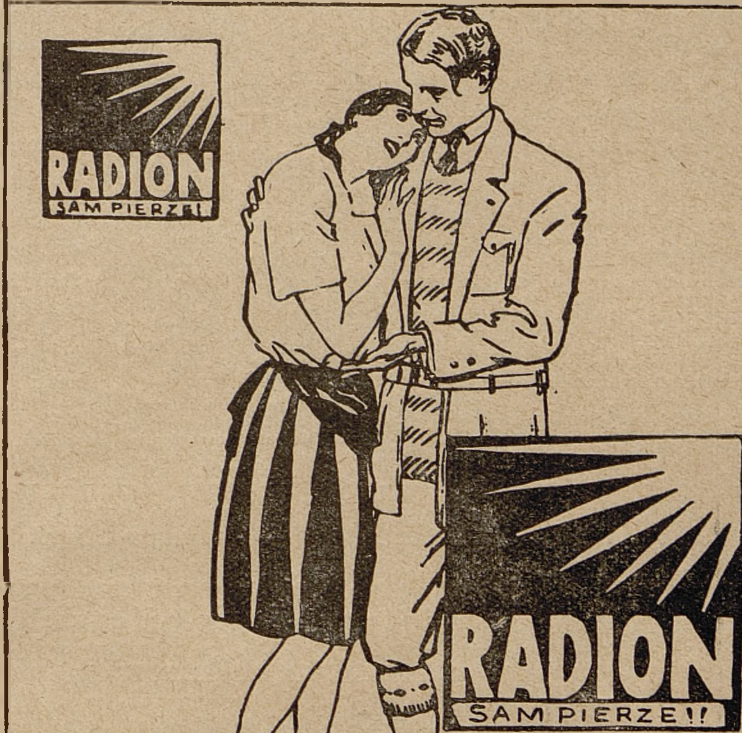
732

Cz. Am. w Łodzi. — Na ten cel nadaje się jersey jedwabny przetykany nitkami metalicznemi. Krawcy paryscy robią zeń urocze kostjumy *irois pièces* przeznaczone właśnie na plażę. — 2. O biżuterji nowoczesnej mieliśmy korespondencje. Ostatnie pomysły przynoszą pierścień dostosowany do naszyjnika; to samo co do bransoletki. — 3. Chustki na szyję trzeba dobierać umiejętnie do toalet jedna nie wystarczy, gdyż ta która godzi się z płaszczem, może popsuć efekt sukni, inna znowu dobra do jasnej sukni, razi przy ciemnej. Trzeba dużo wyrafinowanego smaku i poczucia harmonji barw, by nie popsuć całości niestosowną chustką. Do wieczornych toalet postanowione zostały duże chustki z muślinu jedwabnego, dobrane do koloru sukni. — 4. Ażeby mieć taką wymarzoną parasolkę, o jakiej Pani wspomina, trzeba osobno kupić materję, osobno wybrać rączkę i dać zakończenia drutów, a następnie dać pokryć.

Wszystkim Czytelniczkom, które żądają odpowiedzi „w najbliższym numerze", wyjaśniamy, że numer drukuje się dużo wcześniej od daty wyjścia i często jest już gotów, gdy list z takiem żądaniem nadejdzie. Czyż nie lepiej podać adres imienny i otrzymać odpowiedź do kilku dni?



Do nabycia w drogerjach, składach farb etc.



Panna Kasia jest szczęśliwa!

Gospodarstwa trudy, znoje
Zatruwały moje życie.
Stłumić trzeba serce swoje,
By pracować należycie.
Dziś ja w szczęście swoje wierzę,
Odkąd RADION sam mi pierze.



Chroni bieliznę!

ABY MIEĆ PIĘKNE ZĘBY, NALEŻY UŻYWAĆ

KOLODENS, PROSZEK I ELIKSIR

WYROBU LABORATORJUM APTEKI M. MALINOWSKIEGO WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT, 31

690 t. II

„PUNKT-ROLLER" DO MASAŻU TWARZY

Osoby otyłe muszą stale o tem pamiętać, by wzmacniać swe mięśnie twarzy i usuwać nadmiar tłuszczu z policzków i okolicy brody. Szczególnie u osób silnie rozwiniętych występuje już wcześnie podbródek oraz wytwarzają się t. zw. policzki zwisające, które powoli zniekształcają całą twarz, powodują zmarszczki, bladość i wiotkość cery. Zmarszczki te są znowu powodem słabości mięśni twarzy. Słabe umięśnienie jest przyczyną niedostatecznego krwiobiegu.



Silnie powiększony splot naczyń tętniczych | Splot naczyń tętn. pielęgnowanej twarzy

Nasz nowy Punkt-Roller do masażu twarzy, zaopatrzony miękkiemi ssawkami kauczukowemi, pobudza cyrkulację i ożywianie skóry, usuwa nadmierną ilość tkanki tłuszczowej podskórnej, napełnia i wzmacnia mięśnie twarzy. Cera drogą naturalną, dzięki silnemu przekrwieniu oraz odżywieniu staje się świeżą, młodocianą, gładką i czystą. Wzmożony krwiobieg i przekrwistość objawia się jeszcze w 1—1½ godziny po masażu i tutaj leży wielki sukces naszego Punkt-Rollera.

B. PRUSIEWICZ—POZNAŃ, MŁYŃSKA 9 b

792

„ESMA"

Proszek do mycia głowy Magistra E. SUSSMANA

Czyni włosy jedwabisto-miękkiemi i puszystemi. Usuwa nadmiar tłuszczu i łupież, oraz zapobiega wypadaniu włosów.

808

PIANINO fabryki Schiedmayera w Stuttgardzie, pierwszorzędny instrument o b. pięknym pełnym tonie, przedwojenny, w doskonałym stanie, wyjątkowa okazja. Oglądać można w Magazynie Nut Połonieckiego ul. Klementyny Tańskiej Nr. 1.



NIESPODZIEWANI GOŚCIE

NIE SĄ JUŻ POSTRACHEM DLA PAŃ, KTÓRE POSIADAJĄ

791



ŚPIŻARNIA **DOBREJ GOSPODYNI** ZAWIERA CAŁY SZEREG SMACZNYCH **NIESEZONOWYCH** DAŃ, Z KTÓRYCH NA POCZEKANIU MOŻNA SPORZĄDZIĆ WSPANIAŁE PRZYJĘCIE

ORYGINALNE **APARATY, SZKŁA** i **GUMY** MAJĄ NAPIS: **WECK** NA KAŻDEJ SZTUCE

WYŁĄCZNI PRZEDSTAWICIELE NA POLSKĘ:

KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE, UL. BIELAŃSKA Nr. 2 i 4
MARSZAŁKOWSKA Nr. 68. — MARSZAŁKOWSKA Nr. 124
NOWY ŚWIAT Nr. 141



SIŁA ATRAKCYJNA KOBIETY

i jej powodzenie u mężczyzn

zależną jest w dużym stopniu od umiejętności w doborze subtelnych perfum.

„HALKA" dla Pań
„LILAS" dla Panów
„DAJ-GO" dla Wszystkich

Oto najmodniejsze subtelne perfumy fabryki

HENRYK ŻAK

788

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewka.**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27. Warszawa, Wilcza 3.

Telefon administracji: 4-32. Z drukarni „Dziennika Polskiego" (L. T. Barszczyński), Lwów, Cicha 5. Telefon redakcji: 48-34

DEKORACJE WNĘTRZ,

TAPETY, FIRANKI, KLUBY, SALONY, MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki 4 — Tel. 40-09
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

699

Paryż we Lwowie

L I S Y

Wszelkie plisy paryskie od 2 mm szerokości do 1·30 cm wysokości, według żurnali — wykonuje **elektryczny Zakład plisowania, mereżkowania, endlowania, obciągania guzików i odbijania wzorów**

M. LAUDONA

Lwów
Pasaż Mikolascha 19



PIEGI

ŻÓŁTE PLAMY, OPALENIZNĘ USUWA POD GWARANCJĄ APTEKARZA

JANA GADEBUSCHA

„AXELA" KREM
SŁ. MAŁY - ZŁ. 2.50
SŁ. DUŻY - ZŁ. 4.50

„AXELA" MYDŁO
1 SZT. - ZŁ. 1.25
3 SZT. - ZŁ. 3.50

779

Jan Kiepura

wszechświatowej sławy śpiewak pisze:

Woda „Przemysławska" jest doskonałą dla damskiej toalety
Jan Kiepura

Oryginalna tylko u firmy
HENRYK ŻAK w Poznaniu

787



Tak obecnie modne *Suknie Sportowe* z jedwabiu w dyskretnych kolorach, – stają się praktyczne *o ile są prane w sposób racjonalny*

NA szczęście, żadna rozsądna kobieta nie każe prać zwyczajnem mydlem sukien sportowych. Niejedna ma dziwne jakieś zaufanie tylko do kosztownej pralni chemicznej.

Pierzcie tylko Lux'em, który zabezpiecza tkaniny od przedwczesnego zniszczenia. Wysoce aktywna a zarazem idealnie łagodna piana Lux'u regeneruje tkaniny i nie spiera kolorów. Wszelkie przestarzałe metody prania, polegające na forsownem tarciu i gotowaniu, należy odrzucić raz na zawsze.



Ten nowy system prania delikatnych materjałów jest jedynym niezawodnym.

Lux jest sprzedawanym wszędzie w paczkach granatowych.

PRÓBKA DARMO

KUPON. Do firmy "Sunlajt" Spółki Akcyjnej, Skrzynka Pocztowa 479, Poczta Główna, Warszawa.— Upraszam o bezpłatne przesłanie mi próbnego pakietu Lux wystarczającego na próbne pranie.

Imię i nazwisko ....

....

R.S.K.44 (Uprasza się o wyraźne pisanie.)

Lever Brothers Limited, Anglja.

L.P.44—1

WŁASNY WYRÓB

KOŁDRY-MATERACE 760

Gotowe PRZEŚCIERADŁA pod kołdry od zł. 11·50
„ „ na pościel „ „ 5·60
„ POSZEWKI „ „ 3·—

PŁÓTNA, SZYFONY, OBRUSY, RĘCZNIKI

CENY FABRYCZNE

KOCE, KAPY, FIRANKI, DYWANY i t. p. najtaniej sprzedaje

FABRYKA POŚCIELI

A. PIETRUSZEWSKI — M. MLEKO

LWÓW, UL. KORALNICKA L. 6. — TELEFON 37-72.

Przy zamówieniach i korespondencji prosimy powołać się na ogłoszenia w „ŚWIECIE KOBIECYM".

